
Zeszyty Łukowieckie

Numer 9 -10

Kwiecień-Wrzesień 2005 rok

Gazeta informacyjna

Od Autora!

„Zeszyty” nr 9 i 10 zawierają wspomnienia Pani Marty Polak-Burza o swoim ojcu - Edwardzie Polaku - komendancie Łukowca. Pani Marta opisuje nam nie tylko życie ojca ale, także kreśli jego osobowość. Z jej pracy dowiadujemy się jakim człowiekiem był pan Edward, zarówno przed wojną jak i w czasie jej trwania a także po powrocie z zesłania na Syberii. Pani Marta mówi nam również o wpływie rodziców i dziadków na kształtowanie się postawy życiowej ojca. Pędzie do nauki, roli matki w kształceniu syna, wpływie żony na miejsce pracy w okresie międzywojennym. Poznajemy zainteresowania pana Edwarda a także jego małżonki - rzeźbiarki i malarki. Społecznikowskie zacięcia pana Edwarda dotyczą; kształtowania właściwych postaw polskiej młodzieży - mówieniu im prawdy o przeszłości, jak również pracy w organizacjach kombatanckich. Jest pan Edward autorem książki „Los Polaka” oraz wielu wierszy i listów pisanych do swoich kolegów i przyjaciół.

Druga praca to wspomnienia o Łukowcu pani Emilii Dudzic z domu Stadnik. Pani Emilia po wojnie mieszkała przez dwadzieścia lat z mamą i ciągle wracali wspomnieniami do Łukowca. Słuchała więc opowiadań o minionych latach o życiu przed wojną, partyzantce, samoobronie, głodnym roku, ukrywanej broni, radościach i smutkach. Pani Emilia odwiedziła dwa razy Łukowiec wraz ze swoją rodzoną siostrą Władysławą Zalewską. Przekazane mi zdjęcia są niezwykle interesujące a już zupełnym zaskoczony jestem „zdobytym” zdjęciem konia, na którym jeździł „Piorun” - Zastępca komendanta bazy.

Na marginesie pragnę jeszcze dodać, że pani Władysława Zalewska była, o czym mnie powiadomiła, chrześniaczką mojego dziadka Antoniego Faszynkiedra (mama ich pochodziła z rodziny Januszów i była spokrewniona z dziadka Faszynkiedra żoną). Stąd po powrocie dziadka z Palestyny prezent jaki pani Zalewska otrzymała - srebrny Krzyż Jerozolimski od wujka i chrzestnego.

Trzecia praca, pana Kazimierza Ozgi, jest o tyle ciekawa, że nie jest on łukowianinem (rodzina spokrewniona z łukowiecką rodziną Ostrowskich). W czasie wojny autor przebywał na Łukowcu jako uciekinier i widział co na wsi i wokół niej się działo. To wszystko opisuje. Potwierdził pewne fakty oraz przedstawia rzeczywistość widzianą swoimi oczami.

Zeszyt zawiera:

1. Wspomnienie pani Marty Polak-Burza o ojcu Edwardzie Polaku
2. Wspomnienia z Łukowca pani Emilii Dudzic z domu Stadnik
3. Kazimierz Ozga - Wspomnienia z Berestawów i Łukowca
4. Kazimierz Ozga - Pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich
5. Jak to z lnem bywało (Z. i K. Furtak)
6. Informacje różne o Łukowcu"
7. Słowo o książce Wiktora Poliszczuka "Gorzka Prawda"
8. Opis bitwy partyzanckiej - Konrada Leśniewskiego.
9. List od pana Henryka Libermana z Dusseldorfu.
10. Wspomnienie o Edwardzie Sabacie

Pan Ozga porusza sporo różnych problemów. Dość mocno rozwija też w końcowej części pracy problem awansu społecznego Kresowian w Polsce Ludowej.

Poza tym pan Ozga wprowadza, do naszych wspomnień nowe nazwiska Łukowian: Ostrowskich, Ozgów, Gwoździńskich, Misów i innych. Podkreśla poświęcenie tych ludzi i udział w samoobronie. Kolejny punkt to opis prac przy lnie - wszystkich faz - od zasiania po moczenie, przędzenie, bielenie i wyrób płócien. Informacje różne o Łukowcu to punkt, w którym opisuję ciekawostki, anegdotki a często też streszczenia rozmów na temat Łukowca, rodzin łukowieckich i partyzantki. Kolejny temat to krótka informacja o pracy Pana Wiktora Poliszczuka „Gorzka Prawda”. Pokusiłem się o prezentację tej książki głównie dlatego, że napisał ją Ukrainiec. Książka ta została dość dobrze przyjęta przez Polaków i Kresowian. To jeden z nielicznych głosów prawdy z tamtej strony o stosunkach polsko-ukraińskich. Poza tym ma ta książka jeszcze jedną zaletę, autor analizuje genezę nacjonalizmu ukraińskiego. Jeśli nawet można polemizować z niektórymi informacjami to nie wolno tej pracy odmówić rzetelności. Została napisana bez ukrywania czegokolwiek o tragedii kresowej.

Opis bitwy, który otrzymałem od pana Konrada Leśniewskiego - człowieka, który z Łukowcem nie jest związany, zdecydowałem się umieścić w Zeszytach ze względu na kilka wątków. Po pierwsze; to sam opis widziany oczami jej uczestnika szesnastoletniego chłopca, który zabił w bitwie siedmiu Niemców. Drugi wątek dotyczący jednego z dowódców partyzanckich pochodzącego ze stanisławowskiego AK. Dowódca ten o pseudonimie major Roman Leśniak (właściwe nazwisko Jan Rudolf Majewski) miał w stanisławowskim AK wiele konfliktów. Po przeniesieniu w lasy kieleckie stał się ukochanym oficerem, uwielbianym przez żołnierzy. Trzeci wątek dotyczy losów Konrada, który do 1953 roku osadzany był w wielu więzieniach za działalność nazwijmy to; „przeciwko władzy ludowej”. We Wrocławiu na Sądowej siedział

z chłopakami z okolic Środy Śląskiej z organizacji „Orla Białego” a nawet twierdzi, że wtedy po raz pierwszy usłyszał nazwy wsi Wały Śląskie i Stary Dwór. Dwa inne powody, dla których zdecydowałem się umieścić w naszym kwartalniku ten opis to: wyjątkowo oryginalne poglądy Konrada na Rosję, swoją działalność po wojnie, władzę ludową oraz naprawdę przyzwoity stosunek do Żydów, którzy jak twierdzi byli dobrymi kolegami i dobrymi żołnierzami. W bitwie, którą opisuje Konrad brało też udział trzech jego kolegów Żydów. Jeden z nich miał pseudonim „Zeus” drugi „Znicz” a trzeci „Kicki”. Ten trzeci był wnukiem przechrzty, barona Leopolda Kronenberga, wielkiego polskiego patrioty o którym Encyklopedia PWN wydanie 1984 r. pisze:

„Leopold Kronenberg 1812-1896 działacz polityczny, finansista, przemysłowiec; jako dzierżawca monopolu tytoniowego w Królestwie polskim (1839-1860) zdobył wielomilionową fortunę, którą zaangażował w różnorodną działalność gospodarczą... (m.inn. cukrownictwo, budowa kolej, handel bankowość... Po wybuchu powstania styczniowego poparł ruch zbrojny i dążył do przejęcia steru powstania z rąk czerwonych; wspierał powstanie finansowo i był centralną postacią w zakulisowych walkach „białych” o władzę; w 1863 r. opuścił kraj; po upadku powstania powrócił do Warszawy, reprezentował stanowisko ugodowe.; w 1870 założył Bank Handlowy.; 1875 - Szkole Handlową w Warszawie.”

Dlaczego o tym piszę? Z ostatniej mojej rozmowy z panem Libermanem, wynika, że wyznaje on pogląd, iż Polacy na Kresach Żydów wspierali zaś w centralnej Polsce byli źle do nich nastawieni i w czasie wojny zdarzało się, że ich zabijali. Wspomnił mi o przypadkach zabijania Żydów nawet podczas powstania warszawskiego. Odpowiem na to słowami Konrada Leśniewskiego, który twierdzi, że po

wojnie dowiedział się, iż siostra Kronenberga „Kickiego”, która rzekomo w czasie wojny miała uciec przez Szwajcarię do USA (tak im mówił sam Wojciech Kronenberg) została złapana podczas powstania warszawskiego z papierami agentki niemieckiej i na podstawie wyroku Sądu polowego rozstrzelana. Dla Konrada i jego kolegów była to wieść straszliwa, przynębiająca. Cześć chłopaków, jak mówi Konrad, przyjęła ją z niedowierzaniem. A jak tam naprawdę było po co ona miała te papiery i czy to w ogóle jest prawda - Konrad do dziś nie wie. Pan Konrad Leśniewski, mówi, że gdy po wielu latach odwiedził wieś Nowinki koło Końskich ze zdziwieniem zauważył na cmentarzu katolickim grób Wojciecha Kronenberga i „Zeusa” - Polacy jakoś zorientowali się, że byli oni przyjaciółmi i uznali, że należy pochować ich razem. Zginęli w akcji pod Bokowem. Chociaż Wojciech Kronenberg był wnukiem przechrztu i miał dwie ojczyzny, to jednak bardziej uważał się za Żyda niż Polaka.

Powiedziałem panu Libermanowi, że według mnie na Łukowcu uratowało się od 30 do 40 Żydów. On stwierdził, że ma dokumenty i nazwiska 14-16 osób tylko z Żurawna, które na Łukowcu uratowały się. Poprosiłem go o ten spis. W trakcie przygotowania Zeszytów dotarł on do mnie, toteż zamieszczam go w końcowej części Zeszytów. Jednym z moich zamiarów jest podsumować problem Żydów na Łukowcu Przecież to nie była tylko zwykła ich ochrona. Był to trud w warunkach straszliwego ultimatum niemieckiego, które brzmiało: „Albo Żydów wydacie albo my wieś przetrząśniemy dom po domu”. W tej przymusowej sytuacji do getta przewieziono Żydów zamieszkujących jeden dom Żydów. Ludzie nie chcą o tym mówić. Piorun zapytany o tę sprawę powiedział, że AK broniła Żydów w całej Polsce i na Łukowcu też, oraz że może mnie zapewnić, iż z tym „przetransportowaniem do getta” AK nic wspólnego nie miała. Jan Kuchta zapytany o tę historię odpowiedział: „Żeby ratować jednych, poświęcono innych”. Ultimatum postawiono administracji wsi. Na Łukowcu było też podobno jakiegoś zabójstwo Żydów dla pieniędzy. Ale niestety ja nie mogę na ten temat pisać w warunkach całkowicie

sprzecznych stwierdzeń i domysłów. Jedno jest pewne, że wieś będąc w tak ciężkim położeniu ratowała Żydów. Zdarzało się też, że przechodzili oni z domu do domu lub z jednej kryjówki do drugiej. O tym, że były niechęci do przyjmowania i chronienia ludności żydowskiej także słyszałem. Ludzie ich się po prostu bali. Wydaje mi się, że uratowanie tych 30-40 Żydów na Łukowcu, to i tak był wielki wyczyn wsi a głównie tych, którzy trzymali ich w stodołach, stajniach, schronach, karmili na bagnach i w ziemiankach. Pan Liberman poinformował mnie również, że raz na moczary, gdzie była ukryta jego rodzina weszli partyzanci z Łukowca. Rozmawiali z nimi przyjaźnie. Jednak na drugi dzień przyszedł pan Kuchta i powiedział, że grozi im śmierć. Pana Libermana do dziś ten problem nurtuje!

- Zapytałem o to zdarzenie syn pana Jana Kuchty także Jana. Nie może już dziś nic sensacyjnego powiedzieć. Twierdzi, że zawsze mógł się znaleźć jakiś człowiek, który coś gdzieś może powiedzieć. A czy były to tylko profilaktyce przenosiny, czy z tego względu, że Żydzi się bali, iż ktoś ich widział - dziś, pan Jan nie może za wiele powiedzieć. I jeszcze kilka zdań o Konradzie Leśniewskim, „małym rycerzu”, cytuję jego słowa: „Gdy mnie ostatnio zapytano czy byłem torturowany przez NKWD nie bardzo wiedziałem co odpowiedzieć. - „No niby byłem, ale ja wkalulowałem sobie w moją postawę życiową możliwość śmierci w walce o Polskę”. - Oficer, przesłuchujący wyzywał go od bandytów - śledztwo trwało dość długo w końcu Konrad nie wytrzymał i krzyknął: „Ale kur chłopom tak jak wy - nie kradliśmy” - za to dostał w twarz. Rzucił się na przesłuchującego oficera i próbował wypchnąć go z drugiego pietra przez okno. Stało się jakoś tak, że w trakcie mocowania się z nim, odległość do okna stale się zmniejszała. Ubek zaczął w końcu wzywać pomocy, wpadło kilku jego podkomendnych i rzuciło się na Konrada. Pobity został wtedy, jak mówi, „zdrowo”. Konrad zna w Polsce wiele zakładów karnych m.inn.: Poznań, Potulice, Wronki, Świdnicę, Wrocław - Sądową. Gdy siedział w tym ostatnim przesłuchiwany był przez oficera o nazwisku Jastrzębski - ten nigdy go nie uderzył,

ciągle z nim dyskutował i próbował przekonać do komunistycznych poglądów. Pewnego razu wyciągnięto Konrada z celi i prowadzono długim korytarzem. Dwóch strażników trzymało go pod ręce a trzeci szedł z tyłu z pistoletem. Procedura taka obowiązywała w stosunku do szczególnie niebezpiecznych więźniów (Konrad miał już za sobą dwie udane ucieczki i jedną nieudaną próbę ucieczki). Ciągnęli go więc po tym korytarzu a on na jego końcu widział trzy postacie. Jedną był oficer, którego omal nie wyrzucił przez okno. Po prawej jego stronie stał Jastrzębski a po lewej inny oficer Antoniewicz. Stojący w środku oficer powitał go wyciągając do niego dłoń: Konrad znowu się widzimy. Wracając do naszej ostatniej rozmowy - chcę ci powiedzieć, że za bandytę cię nie uważam, a to uderzenie potraktuj jako spowodowane sprzeczką. Przyjmij przeprosiny i podaj rękę. Co miał Konrad robić, podał mu rękę. Oczywiście Konrad opowiedział mi i o sposobie jaki mieli ubowcy na uśmiercanie ludzi z którego cudem się wywinął i o sinych paznokciach a także siedzeniu całymi godzinami podczas przesłuchań na nodze odwróconego do góry dnem stołka. Jednak najgorszą i najohydniejszą zbrodnią było dla niego zamordowanie w więzieniu ukochanego majora Jana Rudolfa Majewskiego. Domyśla się, że zamordował go oficer (podoficer) AK, który przeszedł na stronę czerwonych. Konrad uważa, że w ten sposób usunął on z drogi do kariery człowieka, który mógł mu zaszkodzić. Chociaż Konrad to człowiek wyznający spiskową teorię dziejów - mówi: - Rosjanie to nie są wbrew powszechnej w Polsce opinii ludzie durni... Oni też potrafią przewidywać a pewne rzeczy dzieją się nie dlatego, że my sobie czegoś życzymy, lecz dlatego, że oni tak właśnie chcą.

Kiedy w 1952 roku przyszła amnestia i darowano Konradowi karę- podjął studia na Politechnice Gliwickiej - towarzyszyły temu różne perypetie, nawet zawieszono go w prawach studenta Studium Wojskowego. Ale znowu miał szczęście. Reorganizacja Studium w 1956 r. umożliwiła mu kontynuowanie na-

uki. Dziś na piersiach Konrada, podczas różnych spotkań czy uroczystości np. górniczych (pracował w KGHM-Polska Miedź SA.), błyszczy kilkanaście krzyży i odznaczeń a wśród nich Krzyż *Virtuti Militari*. W Zeszytach 9-10 zamieszczam też trochę zdjęć otrzymanych od pani Dudzic; domy, które stoją do dzisiaj na Łukowcu, z cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. Zdjęcia otrzymane z Brunowa od pana Baka, który na Łukowcu miał kuźnię. Zdjęcie od pana Tadeusza Piechuty rodziny Juliana Szotta z uratowanym na Łukowcu żydowskim dzieckiem oraz zdjęcie Kazika Burdzego otrzymane od pana Klimasa z Zastruża. Kazika zabili żołnierze radzieccy - skośnoocy w 1944 roku. Chłopak był synem Jakuba Burdzego, poszedł do Rosjan z alkoholem po bron. Dali mu nawet jakiś zdezelowany karabin. Później przyjechał ich oficer i gdy dowiedział się o próbie transakcji kazał wziąć chłopca między dwa konie i tak żołnierze radzieccy zawlekli go do lasu i tam zastrzelili. O tej tragedii słyszałem wiele wersji. Jedna z nich mówi, że chłopaka będącego na placówce, która znajdowała się w domu u państwa Jasińskich ktoś podpuścił i poszedł do Ruskich. Inna, wersja mówi, że sami Ruscy zachęcili do wymiany broni za „spiryt”. Jeszcze inni twierdzą, że Kazik bardzo pragnął się czymś wykazać, że chciał zdobyć choćby jedną sztukę broni. - Tak doszło do tragedii.

Kolejnym punktem Zeszytów jest list pana Henryka Libermana - Spis uratowanych Żydów (z Żurawna), których on znał a którzy przebywali się na Łukowcu. Jest to bardzo cenny dokument. Napisany ręką jednego z ludzi którzy przeżyli holokaust. I człowieka, który do dzisiaj jest życzliwie zainteresowany Łukowianami, Polską i Polakami.

Na ostatniej stronie tego Zeszytu zamieszczam wspomnieniem o panu Edwardzie Sabacie, pierwszym moim recenzencie i w pewnym sensie najważniejszym informatorze o Łukowcu, samoobronie, Armii Krajowej, i tym wszystkim co tam się przed II Wojną Światową i w czasie jej trwania działo.

Szanowny Panie Franciszku!

Proszę, nie wywołaj mnie Pan do tablicy i poświęć napisanie tak odpowiedzialnej pracy tj. wspomnień o ojcu.

Nigdy sama nie podjąłabym się tak trudnego zadania.

Mając wielkich i utalentowanych rodziców czuję się tylko małą mrówką, która zajmowała się w tej rodzinie sprawami przyziemnymi tj. walką o byt i godną egzystencję.

Do lekcji przygotowywałam się tak jak umiałam najlepiej.

Wzrostem i kształtem nie: „Jak nie wiem jak się zachować, to zachowaj się przyzwoicie!” „Jak nie wiem co napisać, to napisz prawdy!” Trudno jednak osiemdziesiąt osiem lat tak aktywnego życia ojca opisać krótko. Mam to świadomości, że jest zbyt opisów za dużo. To wielka umiejętność, którą Pan posiada, napisać krótko, a treściwie. Dlatego bardzo proszę wykonać te materiały w krótkim i własnym ujęciu. Można je: skrócić, sformułować, uzupełnić, poprawić, skomentować itp. Proszę krótko wszystko co udało Panu na koniec i najlepsze.

Powodzenia w redagowaniu
i dobrej wypoczynku

Marta Polak-Burza

Zamówion 25.01.2005 r

Autorka: Marty Polak - Burza

Wspomnienia o ojcu Edwardzie Polaku w dziesiątą rocznicę jego śmierci.

W artykule „Edward Polak - Komendant Łukowca” zawartym w „Zeszytach Łukowieckich” Nr 5, pan Franciszek Burdzy prosi mnie o napisanie wspomnień o moim ojcu. Nie jest to dla mnie proste ani łatwe. W tym krótkim, a jakże treściwym artykule pan sam tak pięknie i ciepło powiedział wszystko!. Na łamach wielu czasopism był drukowany ojca życiorys i oceniane wspomnienia pt. „Las Polaka” - z punktu widzenia historycznego.

Wszyscy Łukowianie czytali i pożyczali sobie nawzajem tę książkę. Mieszkaliście w jednej wsi, razem dorastaliście, chodzili do jednej szkoły i pewnie nad staw na ryby. Ja wtedy miałam pięć lat i tylko pamiętam ten staw, nasz dom i kościół. Przeżywaliście wspólnie tragedię wojny, poniewierki, deportacji, zesłanie, czy repatriacji (powrót do Ojczyzny). Nie wiem czy wyjazd na Ziemię Odzyskaną to było jedno, czy drugie?

Pamiętam tylko pobyt z mamą w jakimś schronie. Kazano mi siedzieć cicho, a bardzo mnie bolał paluszek, który obierał. Płaciliście wtedy życiem za miłość do rodziny, przyjaciół i Ojczyzny. Bardzo dziękuję byłym mieszkańcom Łukowca za to, że zaufali mojemu ojcu gdy był komendantem i nimi dowodził. Współczuliście mu i rozumieliście go, gdy opowiadał swoje syberyjskie losy.

Dziękuję przede wszystkim Panu redaktorowi Franciszkowi Burdzemu, że na łamach swojej gazety często drukuje wspomnienia ludzi, którzy mówią o tacie tak serdecznie. Jestem z tego dumna i cieszę się tym bardziej, że 15 kwietnia 2005 r. Przypada dziesiąta rocznica śmierci taty. „ Czy Polak był bohaterem? - pisze pan Burdzy. I odpowiada: z pewnością tak! - Był to człowiek przede wszystkim: uczciwy, prawy i religijny”. Spróbuję to udowodnić. Dziś gdy szukamy wzorów osobowych dla swoich dzieci i wnuków artykuły w Zeszytach Łukowian są materiałem cennym i wychowawczym. To tylko od nas zależy czy je nasze wnuki przeczytają i właściwie zrozumieją. Ja wiem, że do tego trzeba dorosnąć.

W setną rocznicę powstania Związku Nauczycielstwa Polskiego powiem, że tato był pedagogiem surowym, wymagającym nie tylko od podwładnych, rodziny i uczniów ale przede wszystkim od siebie. Zawsze można było na niego liczyć, a słowo jego było „ droższe pieniędzy”. Nie każdemu z nas nauczycieli uda się swoim postępowaniem, cierpieniem i życiem udowodnić, że było słuszne to czego nauczaliśmy, że warto być szlachetnym i uczciwym, prawdomównym i bezinteresownym, kochać Ojczyznę i ludzi, a wtedy i oni muszą nas kochać, a uśmiechem odpowiedzą na nasz uśmiech. Edwardowi Polakowi, mojemu pierwszemu nauczycielowi pedagogiki i Ojcu - to się udało!. A czy mnie się to udało? - Nie wiem. Człowiek z poczuciem humoru powiedziałby: „ Czy widziałeś kiedyś drogowskaz, któryby sobie szedł wyznaczoną przez siebie drogą?” Odpowiedz brzmi: Nie! Tajemnica tkwi w tym, że mój tato nic nie wyznaczał, nie wymuszał ani na mnie, ani na moich dzieciach. **On po prostu świecił przykładem!** Był wielkim wrogiem alkoholu, nikotyny i nieróbstwa. „ Nie możesz zatrzymać żadnego dnia - mówił, ale możesz go nie stracić”. „ Nie siedź beczynn timer, rób coś: czytaj, ucz się języków, wybierz jakieś hobby”.

To tato pomógł mi w minionych, trudnych czasach dobrze wychować moje dzieci, które wyposażył we właściwe wzorce i chrześcijańskie wartości.

Dzieciństwo mojego ojca

Z opowiadań babci Marii, która mieszkała w Łukowcu naprzeciwko kościoła, wiem, że tato był jej ukochanym synem. W nim pokładała nadzieję i jego postanowiła wykształcić, mimo

trudnych warunków finansowych. Babcia była bardzo inteligentną i mądrą kobietą która już wtedy wiedziała, że trzeba i warto inwestować w naukę. Tato dojeżdżał do szkoły średniej do Lwowa, a w sobotę wracał by zabrać zapasy żywności na cały tydzień. Był bardzo pracowity i wdzięczny babci. Nim ludzie, którzy jechali z nim też pociągiem, przyszli ze stacji do Łukowca, on już zdążył podwórko pozamiatać. Gdy dyrektor zapytał, czym pani opłaci "czesne"? - Babcia gotowa była sprzedać ostatnią krowę. Tato uczył się bardzo dobrze, więc otrzymał możliwość udzielania korepetycji kolegom. W ten sposób opłacał chesne, i utrzymywał siebie, a nawet swoją siostrę. Z nią to właśnie często dzielił się otrzymanym od kolegów chlebem. Gdy miałem siedem lat - mówił - siedłem już z matką do ludzi w pole, gdzie żęliśmy sierpem zboże. Otrzymane ziarno trzeba było zemleć na żarnach. Z tej mąki babcia wypiekała we własnym piecu chlebowym ogromne bochny smacznego chleba. Przed pokrojeniem go zawsze znaczyła nożem znak krzyża świętego. Tato dawał często za przykład swój dom rodzinny moim dzieciom, a swoim wnukom. Mówił: Wy teraz macie dobrze!" Babcia wraz ze swoim ojcem Błażem Sądejem sama wychowywała czwórkę dzieci, gdyż jej mąż wyjechał do Ameryki, jak wiele ludzi „za chlebem”. To babcia Maria Polak mądra, pracowita, zaradna choć prosta kobieta nauczyła mojego tatę uczciwości, obowiązkowości i miłości do swojego domu, podwórka i sadu. Jej nauka to wspólna praca i przykład. Całe życie tato wspominał sad, który razem sadzili. Ja podziwiałam go za to, że rozumiał wzruszenie Niemców, którzy nas odwiedzili; (może nie nas a „swój” dom w roku 1960 w Imbramowicach) i też wędrując po sadzie liczyli jabłunki, które przed wojną tam zasadzili. Tato często opowiadał o „Kresach Wschodnich” i marzył o powrocie do Łukowca, do Lwowa. Spełniło się jego marzenie! Kilka lat przed śmiercią pojechał z wycieczką do Lwowa, a stamtąd już prywatnym samochodem do Łukowca. Nie mógł się nadziwić tej biedzie i bardzo wysokim drzewom, które zasłaniają "jego" dom.

Choć babcia sama nauczyła się czytać na książeczce do nabożeństwa, jej dom był ośrodkiem kultury. To ona doradzała sąsiadom jaką książkę należy, czy warto przeczytać. Za tą działalność została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Stałym obowiązkiem Edzia było głośne czytanie „Trylogii” dziadkowi Sądejowi. Dziadzio znał już prawie treść książki na pamięć i niechby wnuczek spróbował coś pomylić czy „przeinaczyć”!

W czasie pobytu w Łukowcu tato odwiedził mieszkańców swego domu i zlecił im położenie płyty nagrobowej Błażowi Sądejowi i Emilowi Polakowi czyli bratu. Znajdują się one na starym cmentarzu łukowieckim i świadczą o polskości wioski.

Okres młodzińczy

Młodość - najszczęśliwszy i najspokojniejszy okres w życiu taty - rok 1935 - ślub. Akt ślubu - tłumaczenie z łaciny.

Narzeczony: Edward Polak, urzędnik pocztowy syn Michała i Marii Sądej, urodzony w Middlefield w Stanach Zjednoczonych, zamieszkały w Rozdole, wyznania rzymsko-katolickiego, lat 28, stanu wolnego.

Narzeczona: Maria Krzyształowicz córka Tytusa i Heleny Sikorskiej urodzona w Jazłowie, zamieszkała w Rozdole wyznania rzymsko - katolickiego stanu wolnego. Ślub kościelny rodziców odbył się w znanej wszystkim wschodniakom Kochawinie. Ojciec najpierw pracuje jako asystent pocztowy w sławnym Zbarażu, a później w Worochcie. Rodzice zamieszkali w górach by moją mamę obronić przed chorobą. Babcia Helena Krzyształowicz i ciocia Waleria zmarły na gruźlicę, a moja mama Maria byłaby następna. Tato uwielbia wycieczki: wędrują więc po górach, w zimie jeżdżą na nartach i łyżwach. Worochta to perła uzdrowisk. Jest tam wiele pensjonatów i turystów. Później całe swoje życie wspominają piękne stroje i kilimy huculskie, przyjaznych ludzi i ich zwyczaje. Mama często cytowała przysłowie ukraińskie i śpiewała pieśni rodem z tamtych stron. Na jednym ze spacerów, tato zobaczył napis na

pensjonacie, jego nazwę: „Marta”. Powiedział wtedy do mamy: „Wiesz Nusi, naszą córkę nazwiemy Marta. I tak zostało! W międzyczasie „czuło się już zawieruchę wojenną” Mój tato jako człowiek czynu był bardzo znudzony swą monotonną pracą na poczcie. Cicho marzył sobie: (sam mi to opowiadał). Żeby się coś działo! Żeby nawet już była wojna! No i stało się! „Pewnie wykrakał”. Do wojska jednak go nie chcieli przyjąć. Najpierw dlatego, że był wątłej budowy ciała i słabego zdrowia (wrodzona wada serca). Później dlatego, że miał obywatelstwo amerykańskie. Komisji wojskowej powiedział stanowczo, że bardzo chce służyć w Wojsku Polskim. Wtedy skierowano go do Szkoły Pochorążych w Rawie Ruskiej. Jako ppor. rezerwy, na wypadek wojny dostał przydział do 48 pp w Stanisławowie. Tak z własnej woli i patriotycznego obowiązku znalazł się w wojsku. Wreszcie poszedł na swoją wymarzoną wojnę! Odtąd już nigdy w życiu mu się nie nudziło! Mama pojechała na Łukowiec do babci Marii, bo myślała, że na wsi będzie bezpieczniej i spokojniej. Czekala przecież na rozwiązanie. Przez wsie ukraińskie, pola i lasy, pieszo przyszła tam także siostra mojej mamy Zofia. Z powodu niedogodności, strasznych przeżyć i strachu zachorowała na epilepsję. Trwało to całe życie.

Okres wojny i zesłanie na Sybir

Tato wraca z wojny do Łukowca w końcu listopada 1939 r. W kampanii wrześniowej został trzykrotnie ranny. Dzięki Bogu i ludziom wyleczony w szpitalu w Zamościu z ran i dyzenterii. O jego wielkiej religijności świadczy fakt, że pierwsze swe kroki po powrocie z wojny kieruje do drzwi kościoła, w którym go chrzczono, gdzie przyjął Pierwszą Komunię świętą. Czuje się w obowiązku podziękować Bogu za uratowane swe życie. Początkowo jego pobyt w domu jest wielką tajemnicą. Później w swych wspomnieniach napisze tak: „Jest marzec. Jak zwykle, gdy jest ktoś obcy w domu, siedzę w kryjówce, z dołu dochodzą mnie krzyki rodzącej żony. Każdy krzyk, przeszywa mnie niewymownym bólem, bólem spotęgowanym świadomością własnej bezradności - przecież nie mogę się ujawnić!”

I tak, 18 marca 1940 r. Przyszłam na świat ja - Marta Tatiana córka Edwarda i Marii Krzysztalowicz, teraz już Polak. Tato był człowiekiem obowiązkowym i wrażliwym na krzywdę ludzką i gdy rozpoczyna się ukraiński terror ujawnia się i podejmuje walkę obronną w Bazie „Topór”. Jako oficer zostaje dowódcą tej bazy zapewniając bezpieczeństwo miejscowej ludności i schronienie przybyszom. Razem około dziesięciu tysiącom ludzi. Za to, że spełnił swój ludzki i patriotyczny obowiązek, dnia 23. IX. 1945r., gdy miałam pięć i pół roku, pewnej pięknej niedzieli został wyprowadzony z domu do więzienia w Bukaczowcach, a później do Stanisławowa.

Nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że rozstajemy się na długich jedenaście lat. Mama była zrozpaczona, babcia obłożnie chora na artretyzm, ciocia dostała ataku padaczki, a ja niewiele z tego jeszcze rozumiałam. Jeszcze wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, że już mi nigdy tato nie opowie bajki o kobiecie w fartuszku, która zabrała z lasu małe liski, daleko od mamusi. Nikt mi nie otrze łzy, gdyż z tego powodu rzewnie płakałam, aż znalazła się w fartuchu baby dziura i liski uciekły. Tato zmyślał dla mnie piękne przyrodnicze bajki i cieszył się gdy mógł zapobiec moim smutom. Tatę czekała straszna droga i pobyt na Syberii. Myślę, że tylko silny charakter, religijność i wielka wola życia pozwoliły mu ten straszny czas przetrwać. Nas zmuszono do opuszczenia ojcowizny i wyjazdu na Zachód. Całe swoje dziecięce i młodzieńcze życie marzyłam o powrocie do kochanego, dobrego taty do domu. Modliłam się w kościele cichutko i zazdrościłam swoim koleżankom, że ich tato jest zawsze w domu, a mojego nie ma. Babcia Maria zostanie zawsze w mojej pamięci z różańcem w rękach zdeformowanych chorobą. Prosiła Boga o powrót Edzia. Nie doczekała tego pięknego dnia!. Zmarła dwa lata przed jego powrotem. Na dworzec we Wrocławiu, na powitanie taty

wybrała się cała delegacja rodzinna: My z mamą, stryjeczny brat z siostrą i żona innego brata stryjecznego. Ja miałam największe szczęście bo intuicja mnie wiodła do tego wagonu i wyjścia, którym wysiadł właśnie tato! - Miałam wtedy szesnaście lat. Tato mnie jednak rozpoznał. Zawołał po imieniu, a ja go wreszcie mogłam uścisnąć. Zaraz zbiegli się wszyscy i radości nie było końca.

W Polsce

Mieszkaliśmy w Osieku. Następnie rodzice przenieśli się do Imbramowic, gdzie zajmowali się gospodarstwem rolnym. Ja chodziłam do szkoły w Łodzi i mieszkłam tam u wujostwa. Przyjeżdżałam na ferie i wakacje. Prowadzenie gospodarstwa nie jest szczytem marzeń moich rodziców. Mama jest uzdolniona plastycznie: Maluje piękne obrazy, które zdobią ołtarze i chorągwie w kościołach. Tato marzy by mieć czas i godne warunki, oraz spokój, gdyż zamierza spisać swe przeżycia wojenne i „sybirackie”. W 1971 roku gdy jestem już zamężna i mieszkam w Komorowie zabieram do siebie rodziców. Tu mają wymarzone warunki, jest wiele pokoi i spokój by każdy oddał się swym pasjom. Mama maluje obrazy, tato pisze wspomnienia. Chętnie też odwiedza dzieci i młodzież szkolną by opowiadać im i nauczycielom to czego w podręcznikach do historii jeszcze nie było. Na tych spotkaniach dowiedzieliśmy się ile tato musiał wycierpieć, jaką mieć wiarę w Boga, być wytrwałym by znieść ciężką katorżniczą pracę. Jego koledzy dokonywali samookaleczeń, ucinali sobie palce, a nawet ręce by nie paść pod ciężarem worów z cementem na 50°C mrozie. Tatę przy życiu trzymała myśl, że musi do nas wrócić - bo my na niego czekamy. Marzył często, że jest ptakiem i leci z wiosną do Polski i swojej rodziny.

W epilogu swych wspomnień pisze: „Obrałbym dla siebie tę samą drogę... Drogę twardą, drogę obowiązku obywatelskiego względem swego narodu - za spełnienie czego... „Jedni karzą a drudzy nagradzają!”

Mieszkając w Komorowie jeździ codziennie do Świdnicy by tam udzielać się społecznie. Jest współzałożycielem Związku Sybiraków i Towarzystwa Miłośników Lwowa. Zawsze uczestniczy w uroczystych Mszach Świętych odprawianych z okazji rocznic świąt narodowych. Wraz z kolegami kombatanami składa wieńce i kwiaty pod tablicami pamiątkowymi i pomnikami. Wyjeżdża na wycieczki krajoznawcze w Polskę i za granicę. Podczas audencji u Papieża wręcza Ojcu Świętemu swoje wspomnienia. Składa hołd poległym żołnierzom pod Monte Cassino.

Jest czynny i aktywny społecznie do końca swoich dni. Musi pojechać na każde wezwanie ludzi potrzebujących jego rady w sprawie uprawnień kombatanckich i innych. Traci wzrok, słabo widzi. Mając lat 88 nie kwalifikuje się do operacji. Mimo to wyjeżdża z domu pomagać innym. Ma rzadką umiejętność słuchania ludzi.

W całym ojca pracowitym życiu leżały mu na sercu sprawy państwa, społeczeństwa a także pojedynczego zwykłego człowieka.

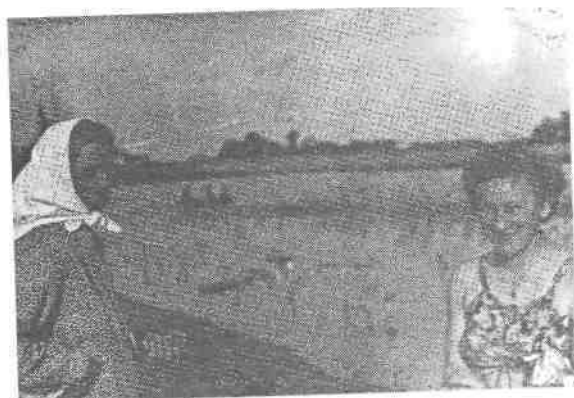
Dumna jestem, że miałam tak wspaniałego Ojca! Teraz modłę się aby dobry Bóg wynagrodził mu cierpienie i wierność Ojczyźnie, szczęściem wiecznym.



Ślub rodziców Edwarda Polaka



Edward Polak z żoną Marię - nad stawem na Łukowcu



Matka i żona Edwarda Polaka nad stawem na Łukowcu



Maria Polak z domu Sądej z dziećmi: Stefanią, Władysławem, Emilem i Edwardem (z prawej)



Ksiądz Józef Wanatowicz z rodziną Polaków-rok 1945.



Worochta - żona Maria w stroju huculskim przedwojenne



Edward Polak z żoną Marią i jej siostrą Zofią - zdjęcie



Edward Polak zdjęcie powojenne



Edward Polak- 1944r.



Edward Polak w górach - zdjęcie przedwojenne



Wrocław - 1956 r. - Edward Polak wraca z Syberii



Gospodyni ks. Wanatowicza wygląda na zagniewaną - że nie zdążyła zdjąć fartucha - zdjęcie z okresu wojny



Żona Maria zwana „Niusią” i Marta -
najbliższa rodzina Edwarda Polaka



Wizyta rodziny Polaków
i Pioruna u księdza Wonatowicza
na Górnym Śląsku



Rzeźba autorstwa Marii Polak



Spotkanie łukowian we Wrocławiu w 1987 r.



Świdnica 1994 rok - dekoracja Edwarda Polaka Krzyżem Walecznych



Spotkanie opłatkowe Towarzystwa Miłośników Lwowa



Sztandar Związku Sybiraków z lewej prezes - Cz. B. Bartkiewicz z prawej V-ce Prezes Edward Polak



Obraz wykonany z okazji pielgrzymki Sybiraków na kanonizację o. Rafała Kalinowskiego



U góry od lewej Marta Polak - Burza, dalej Tomasz Burza, Agnieszka, Mieczysław i Rafał, siedzą pani Marta i pan Edward Polakowie



Komorów - Edward Polak spotyka się z dziećmi ze Szkoły Podstawowej



Ząbkowice 3.IX.1990r. odbiór sztandaru wykonanego przez siostry zakonne Paulinę i Barbarę



Edward Polak przekazuje papieżowi Janowi Pawłowi II swoją książkę „Los Polaka”



Edward Polak w księgarni we Wrocławiu podpisuje swoją książkę

Autorka: Emilia Dudzic (z domu Stadnik).

Wspomnienia z Łukowca

Po przeczytaniu „Zeszytów Łukowieckich” zdecydowałam się do napisania wspomnień o mojej rodzinie. Moi rodzice, mama: Zofia (z domu Janusz) i ojciec: Władysław Stadnik wraz z ośmiorgiem dzieci i matką ojca Franciszką Stadnik mieszkali w Łukowcu Wiśniowskim przy ul. Szlachecka Górka. Z jednej strony mieliśmy za sąsiadów: Kantorów, Szczęcha Andrzeja, Burdzego Władysława, Furtaka Józefa i Gawła, a z drugiej strony Tenderysów, Stadnika Michała, Kurtysę Kazimierz, Wykę Piotra, Szczęcha Antka i Polikarpa. Ojciec mój był szanowanym i lubianym człowiekiem, należał do Rady Nadzorczej Kasy Stefczyka, żył w zgodzie z sąsiadami. Zaprzyjaźniony był również z ukraińską rodziną sołtysiem z Wiśniowa p. Szymczyjem i jego bratem. Zapraszali się wzajemnie na chrzciny i inne uroczystości rodzinne do czasu, gdy zaczęli ginąć pojedynczo Polacy. Wspomnienia mojej mamy z ostatniego przyjęcia u Szymczyjów nie były przyjemne. Ukraińcy nie byli już mili dla Polaków, mówili głośno „śmierć Lachom”. Pan Szymczyj bał się o moich rodziców, a także o siebie, poprosił ojca na bok i powiedział mu, żeby dyskretnie wyszli i odjechali jak najszybciej. Tak przyjaźń z Ukraińcami się skończyła. Polacy zaczęli być prześladowani i napadani. Takie zajście spotkało mojego brata Kazika, kiedy mama wysłała go do lasu, by naciął tyczek do fasoli. Brat wraz z kuzynem zabrali siekiery i poszli w las. Tam zaskoczyło ich dwóch Ukraińców, ojciec z synem, którzy zażądali oddania siekier. Kuzyn był młodszy wystraszył się, rzucił siekierę i uciekł. Natomiast brat stoczył walkę z Ukraińcem, jednak przeciwnik był silniejszy, odebrał mu siekierę i uderzył nią brata mocno w ramię, aż się zachwiał i był zmuszony ratować się ucieczką. Nie miał szans ich było dwóch. W następną zasadzkę brat Kazik wpadł w młynie. Uratował się tylko dzięki temu, że zdążył wskoczyć do kosza z otrębami. W momencie, gdy zapanowała cisza, wyszedł i zobaczył Stanisława Kućmę, któremu też udało się schować. Brat po powrocie do domu był śmiertelnie blady i przerażony. Mama zaczęła obawiać się o jego życie. Ta tragiczna historia w młynie jest dokładnie opisana w jednym z Zeszytów, więc nie będę jej powtarzać. Dalsze wspomnienia są pełne smutku, gdyż dotyczą śmierci naszego ojca Władysława Stadnika. Udzielając pomocy innym sam stracił życie, a było to po ugaszeniu pożaru u Józefa Furtaka. Przybiegł ktoś po ojca, by poszedł opatrzyć rany poparzonemu. Mama mając złe przeczucia, chciała zatrzymać go w domu, lecz tato mimo jej prośb zabrakł olej lniany, opatrunki i wyszedł. Nie mogąc doczekać się powrotu taty, mama wysłała po niego starszą córkę Józję. Po niedługim czasie siostra wraca z twarzą zakrytą rękami i przeraźliwie płacząc oznajmiła: "Mamo nasz tato nie żyje". Z relacji naocznych świadków wiemy, że po opatrzeniu ran (najbardziej był poparzony Władysław Furtak), mężczyźni usiedli by zapalić papierosa. Padł rozkaz by rozładować broń. Młody partyzant wyciągnął magazynkę z karabinu i uważał, że wszystko jest w porządku. Nie wiedział jednak o tym, że jedna kula została w lufie karabinu. Chłopak poprosił ojca o ogień, w chwili jak tato pochylił się, żeby podać mu ogień, on ściągnął broń z ramienia, by oprzeć ją o podłogę. Broń stuknęła o ziemię, wypaliła i ta jedna zabłąkana kula przeszła ojcu serce. Przerażony partyzant bojąc się samosądu uciekł z miejsca wypadku, którego świadkami byli między innymi: mój 18-letni brat Kazimierz Stadnik, należący do partyzantki. Maria Stadnik z domu Bober żona Jasia Stadnika również partyzanta pod dowództwem. „Pioruna”. Władysław Furtak walczący w Samoobronie. Mój ojciec zginął 7 listopada 1944 roku, osierocił 8-oro dzieci. Najstarszy syn Kazimierz miał 18 lat, najmłodsza córka 5 lat. Na pogrzebie ojca były same kobiety, starcy i dzieci. Młodzi mężczyźni w obawie przed łapanką nie pojawili się. Mój brat - partyzant, też nie uczestniczył w pogrzebie ojca. Należał on do grupy partyzantów pod dowództwem Andrzeja Szczęcha. Odpoczynek był u Szczęchów, placówka natomiast u Józefa Furtaka, którego dom był blisko lasu, w razie czego mogli się schronić. Rozstawiano warty, które zmieniały się co 2 godziny. W naszej stodole była

przechowywana broń. Mama bardzo się bała, że ktoś nas przyskarży i wywiozą nas na Sybir. Prosiła usilnie partyzantów, by broń zabrali. Przeniesiono ją do Kantora. Kiedy aresztowano Władysława Burdzego, torturami zmuszano go do wyjawienia miejsca ukrycia broni. Później dotarli do Kantorów i aresztowali matkę Franciszkę Kantor. Najstarsza córka Franciszki Kantor - Genowefa, nie mogąc poradzić sobie z opieką nad rodzeństwem, udała się do naczelnika z prośbą o zwolnienie matki. Zaproponowała, aby w zamian zatrzymano ją a matkę wypuszczono. Gienię zatrzymali i zmusili by zdradziła, gdzie ukryto broń. Kiedy zawieźli ją we wskazane przez nią miejsce - broni tam już nie było. Partyzanci przewidując sytuację, broń zabrali i ukryli robiąc kopiec w polu. Gienię Kantor posądzono o przynależność do partyzantki i wywieziono na Sybir.

Docelowym miejscem jej zsyłki był Magadan (sąsiedztwo półwyspu Kamczatka). Po wojnie rodzina odnalazła ją przez Czerwony Krzyż. W latach 1965-67 odwiedziła swoją rodzinę w Polsce (Mieczków). Zatrzymała się również u mojej siostry Hani we Wrocławiu, której opowiedziała jak ciężką katorgę przeszła w drodze na Sybir. Pragnąc być bliżej rodziny i kraju, kupili z mężem dom koło Rohatyna. Niedługo potem zmarła.

Na terenie naszego gospodarstwa były cztery schrony. Duży mieścił około 40 osób i był dobrze zamaskowany, wchodziło się do niego z obory, wejściem wykonanym pod żłobem u koni. Ukrywali się tam wszyscy, którym groziło niebezpieczeństwo. Mama przygotowywała jedzenie, a siostra Hania zanosila je tam. Kiedy przyszli Rosjanie w 1944 roku, podejrzewali, że ukrywamy partyzantów. Mama była wzywana do nich i co jakiś czas musiała meldować się w „Domu Kasowym” gdzie oni mieli dowództwo.

Zarówno za życia ojca, jak i później gnębieni byliśmy częstymi napadami. Zdarzyło się, że wpadli na nasze podwórko tzw. „Turcy” w służbie niemieckiej i widząc młode dziewczyny zaczęli za nimi gonić, dziewczynom ledwie udało się schronić na strychu i zaryglować wieko. Jednak, gdyby nie pojawił się ojciec z jeszcze jednym starszym mężczyzną nie udało by się ich obronić. Później napadło nas i okradło dwóch Ukraińców przebranych za Kozaków. Przystawiając mamie i siostrze broń do piersi, zabrali skóry cielęce na buty, które wyprawiał nasz ojciec, kozuchy i materiały. Złapano ich na Wandolinie, lecz skradzionych rzeczy nie odzyskaliśmy. Następnym razem Niemcy, przystawiając karabin do głowy 8-letniemu bratu Józkowi, zażądali wydania koni, ten przestraszony pobiegł i pokazał gdzie były ukryte. Prawdziwy najazd i nalot przeżyły mama z siostrą Hanią. Żęły w polu pszenicę, gdy nadjechała na koniach cała horda, mówiono o nich „Tatarzy” - wystraszone zaczęły uciekać. Nadleciały samoloty ostrzeliwały je. Jeden z samolotów wylądował na łące. Gdy dotarli do domu, okazało się, że całe to wojsko rozbiło się w naszym sadzie, z kuchnią polową namiotami i zamaskowanymi działkami przeciwlotniczymi. Wojsko to do gospodarzy odnosiło się z szacunkiem. Dzieciom dawali cukierki i inne łakocie. Po tylu latach trudno nam to wszystko ogarnąć, ale przekazujemy to co utkwilo nam w pamięci.

Pamiętamy, że przyjeśliśmy pod swój dach czteroosobową rodzinę Skowronów, która musiała uciekać przed Ukraińcami. Taki sam los spotkał Marię Stadnik z domu Bober, która wraz z matką uciekła z Żórowa na Łukowiec Wiśniowski, gdzie znalazły schronienie w domu pana Andrzeja Szczęcha.

W 1945 roku po wyzwoleniu musieliśmy opuścić swoje domostwo i wyjechać na Zachód (Zimie Odzyskane). Najstarszy brat Kazik nie mógł pogodzić się z tym, że trzeba cały dorobek zostawić, zaczął niszczyć niektóre sprzęty, aby Ukraińcy nie mogli z nich korzystać, jednak mama go powstrzymała. Wyjazd odbył się według rejestru i dlatego my z mamą pomimo że miała czterech braci, jechaliśmy oddzielnie. Byliśmy zapisani na piąty transport. Chcąc zabrać cały dobytek, mama zapisała 4-oro dzieci na babcię (matkę ojca), która była z

nami, aby zająć cały wagon. Jeden wagon był przeznaczony dla dwóch rodzin. Wyjazd nastąpił 1 XI 1945 roku, ale załadunek rozpoczął się wcześniej na stacji Chodorów. Przy tym wyjeździe bardzo brakowało nam ojca. My jeszcze jako małe dzieci musieliśmy dużo dźwigać. Dostaliśmy cały kryty wagon, jednak musieliśmy pomieścić w nim nasz dobytek. Zabraliśmy krowę, konia zapasy słomy i siana. Było nas 10 osób. Do naszego wagonu dokooptowali 3-osobową rodzinę Kantorów. Transport odbył się w miarę sprawnie i szybko, ponieważ jechał Adam Burdzy i Stanisław Kućma, oni dbali o maszynistów aby ochota na dłuższy postój nie przyszła im do głowy. Bimber i wałówka robiły swoje. Na trasie przejazdu w Brzezinkach spotkaliśmy hrabiego Roztworowski, który wcześniej tam się znalazł i miał pracę. Bardzo wspomagał Łukowian. Wychodził do każdego transportu i zabezpieczał ludziom żywność oraz inne potrzebne środki. Ręką pokazywał na usta aby nic nikomu nie mówić, gdyż bał się, że w przypadku rozpoznania go będzie miał kłopoty. Transport nasz dotarł do Środy Śląskiej i tam nastąpił rozładunek. Mężczyźni wybrali się na penetracje wiosek, w poszukiwaniu wolnych gospodarstw. Dotarliśmy do Mieczkowa. W wiosce tej były już pierwsze rodziny z Łukowca; między innymi rodzina Kurenia Leona, i rodzina Żyrów a reszta ludności to były rodziny niemieckie. W domu, który zajęliśmy musiał być szpital polowy. W pokojach i stajniach było pełno bandaży i opatrunków, które usuwaliśmy widłami. Wiele rodzin nie chciało się rozpakowywać, licząc na szybki powrót do rodzinnych stron. Bracia mamy; Wojciech i Adam osiedlili się w Szklarach Górnych koło Lubina. Brat Andrzej w Jankowicach na trasie pomiędzy Środą Śląską a Kostomłotami. Najstarszy Józef w Żmigródku. Siostra mamy Agnieszka Oźga z domu Janusz, która mieszkała w Łukowcu Żurowskim przy ul. Zielonej wyemigrowała w roku 1937 wraz z mężem i córką Anią do Argentyny. Do wybuchu II wojny światowej w 1939 r. utrzymywaliśmy kontakt listowny. Po wojnie ciocia odnalazła nas przez Czerwony Krzyż, bardzo nam pomagała przysyłając paczki z odzieżą. Mamie było ciężko z gromadką tylu dzieci. Wujek Oźga był także mocno zaangażowany w organizowaniu po wojnie pomocy dla Polski, (trzy zdjęcia z Argentyny załączam do niniejszego opracowania). W 1952 r. ciocia z mężem i dwiema córkami Anią i Lilą wrócili do Polski i osiedlili się w Bielawie.

Po 60-ciu latach zdecydowałam się pojechać na Łukowiec. Wybrałam się tam z wycieczką wraz z dwoma siostrami i siostrzenicą. Moje uczucia są bardzo mieszane. Zetknęłam się z rzeczywistością która dla mnie osobiście jest bardzo bolesna. Najważniejsze, że byłyśmy na grobie naszego ojca. Grób się zachował dzięki siostrze Marysi, która w latach 65-67 była na Łukowcu z Bronisławą Furtak i jej synem Edwardem. Siostra zrobiła cementowe obmurowanie i tablicę, bo krzyż był już bardzo zniszczony. Tym razem zawiozłyśmy tablicę marmurową. Myślimy, że się zachowa, ponieważ na Łukowiec przyjeżdża dużo wycieczek i oni o pozostawione groby dbają. Łukowiec Wiśniowski jest bardzo wyludniony w większości zostali tam sami starsi ludzie z wnukami. Średnia generacja wyjeżdża na Zachód za pracę. Wielu domów nie ma między innymi; domu Szczęcha Andrzeja, Furtaka Józefa, Gawła. Dom Tenderysa jest opuszczony, nikt w nim nie mieszka. Nasz dom zamieszkuje starsze małżeństwo w wieku około 80 lat. Żyją bardzo skromnie. Gospodarstwo nasze jest w całkowitej ruinie. Nie ma takich zabudowań jak stodoła, stajnia. Nie ma też strumyka, w którym nasza babcia moczyła len, z którego później wyrabiano płótno. Kiedyś były drogi i ścieżki do sąsiadów, dziś wszystko porośnięte jest chaszczami. Nie ma naszego pięknego sadu owocowego, ani płotu grabowego. Smutny jest to obraz po latach. Z tamtego przedwojennego Łukowca pozostały nam tylko wspomnienia.



Zdjęcie przedwojenne z Łukowca



Zdjęcie rodzinne z Łukowca



Łukowiec Wiśniowski - uroczystość I
Komunii Św. w Rodzinie Januszków i Stadników



Zdjęcia z Łukowca - Kazimierz Stadnik i Rodzina Kureniów



Łukowianie - zdjęcie przedwojenne



Mieczków - od lewej Edward Stadnik,
Anna Stadnik i Jan Stadnik



Zdjęcie Łukowian



Cmentarz na Łukowcu 1965 rok - Przy grobie Władysława Stadnika
córka Maria i Bronisław Furtak z synem Edwardem



Józef Furtak - właściciel konia na którym jeździł „Piorun” i który uratował go na bagnach



Łukowianie w wojsku - dolny szereg od lewej: Piotr Wyka i Walenty Watras



Stare zdjęcia z Łukowca



Wojciech Janusz



Łukowiec Wiśniowski
dom Kantorów na
Szlacheckiej Górze
(zdjęcie z 2004r.)



Łukowiec Wiśniowski dom
Władysława Burdzego na
Szlacheckiej Górze (zdjęcie
z 2004r.)



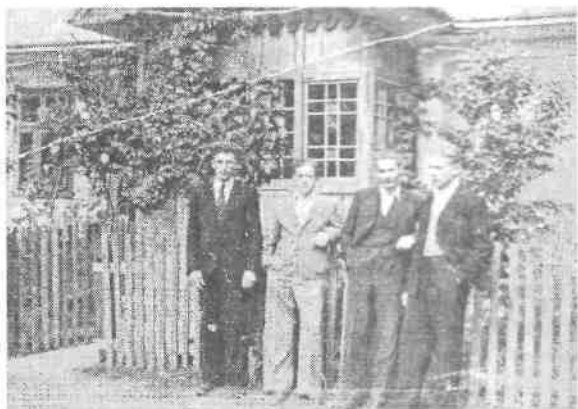
Łukowiec Wiśniowski dom
Tomasza Majdańskiego
(zdjęcie z 2004r.)



Łukowiec Wiśniowski
dom Władysława Stadnika
na Szlacheckiej Górze
(zdjęcie z 2004r.)



Emilia Dudzic i Władysława Zalewska na cmentarzu łyczakowskim we Lwowie



Zdjęcie przed domem Krycińskich



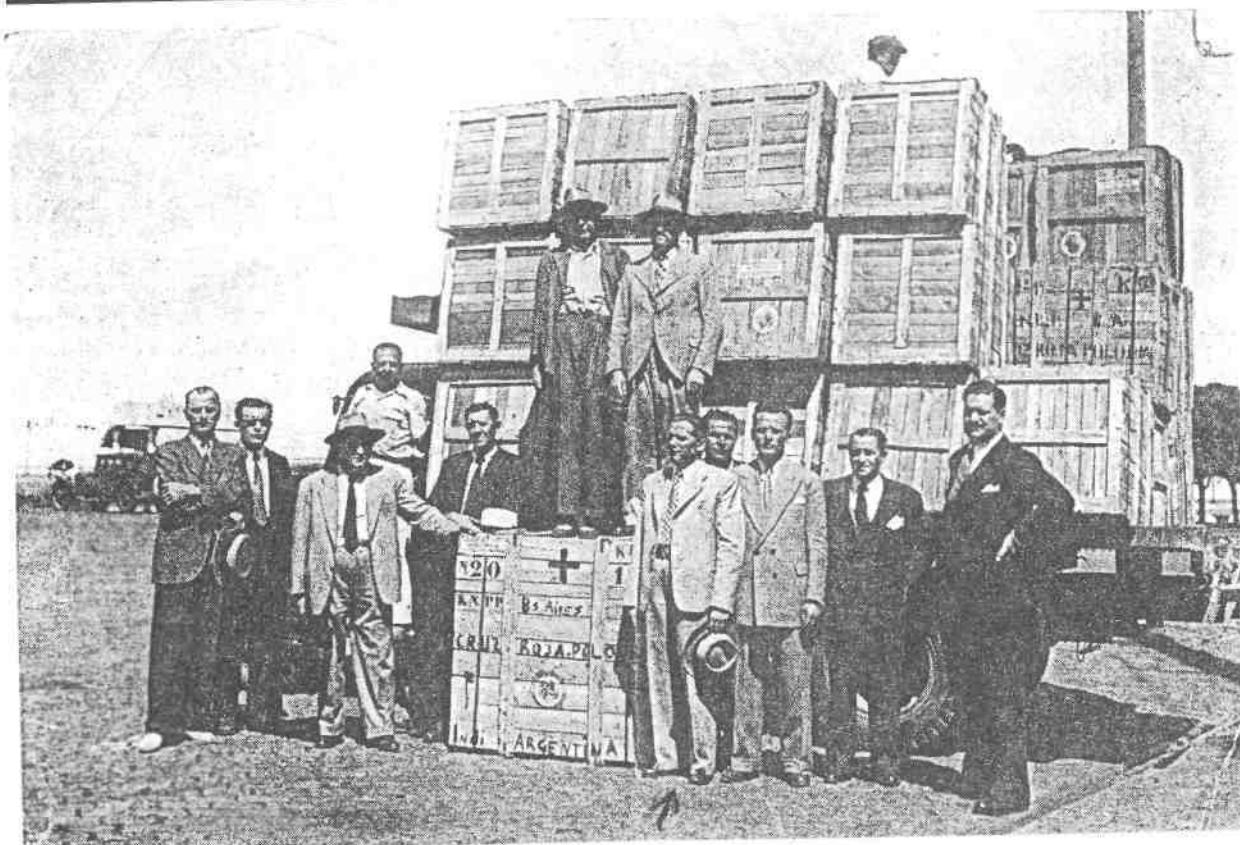
Władysław Furtak z kolegą - zdjęcie z wojska



Tadeusz Kućma i Kazimierz Stadnik w jednostce
wojskowej w Elblągu



Cmentarz na Łukowcu. Grób Władysława Stadnika 27 IX 2004 r.



Polacy z Argentyny - przy wysyłce paczek do Polski. Adolf Ozga z kapeluszem w ręce.



Buenos Aires - Argentyna - Rodzina Wosiów
Od lewej do prawej: Kazimierz, Eugeniusz, Elżbieta, Czesława,
Rodzice Ewa. Bronisław



Polacy z Argentyny, a w śródnich Adolf Ozga z żoną i córką

Autor: Kazimierz Ozga

Wspomnienia z Berestawów i Łukowca

„Zeszyty Łukowieckie” dotarły do mnie nie tak dawno (wypożyczyłem je z Lubiąża, od nr. 1 do 8). Przeczytałem z wielkim zainteresowaniem i uznaniem, zarówno dla redaktora jak i autorów tekstów. Bowiem od dawna poszukiwałem lektury o historii i wydarzeniach z lat wojennych, a dotyczących naszych rodzinnych stron z byłego powiatu Rohatyn, woj. stanisławowskiego. Wśród wielu wydawnictw o rubieżach zarówno książkowych jak i prasowych, wzmianki o naszym rejonie były powierzchowne. Była to tzw. biała plama. Zeszyty Łukowieckie przerosły moje oczekiwania. Odzwierciedlają i tworzą prawdziwą historię ludzkich tragedii i przeżyć, nigdzie dotąd tak szczegółowo i prawdziwie nie publikowanych. Myślę, że dobrze będą służyć młodemu pokoleniu, ale i nam jeszcze żyjącym - nie tylko dla odświeżenia pamięci i wspomnień, lecz także dla pogłębienia wiedzy i faktów dotąd nie znanych. Pomimo, że nie jestem rodowitym łukowianinem to wspomnienia i opisywane przeżycia łukowian są mi bardzo bliskie, ponieważ mając wtedy 9-10 lat zamieszkiwałem tam i jakąś część historii przeżywaaliśmy razem. Miałem na Łukowcu krewnych.

Wychodząc naprzeciw apelowi redaktora Zeszytów i ja postanowiłem podzielić się kilkoma wspomnieniami i spostrzeżeniami z tamtych lat.

BERESTAWY (KOLONIA KAROLÓWKI)

Z wielką satysfakcją przeczytałem w zeszycie nr. 1 i 2 wzmianki o wsi Karolówka oraz osiedlu „Berestawy”, którego nie ma na żadnej mapie, a jednak w pamięci ludzkiej przetrwało. Otóż, ja tam właśnie się urodziłem wg. ewidencji w Karolówce, gdyż była to faktycznie kolonia Karolówki. Powstała na początku XX wieku w ramach parcelacji gruntów i wyrębów lasów. Ludność polska przybyła tu z terenów dawnej Galicji m.in. z rzeszowszczyzny. Mój dziadek Jan Ozga przybył tu z Woli Raniżowskiej. Żonę miał z domu Lis, pochodzącą z Karolówki, która miała ziemię na odległym terenie tworzącej się kolonii później potocznie zwane „Berestawy”. Pewna część gruntów na tym terenie przynależała do mieszkańców wsi Karolówka, stąd niektóre rodziny tu się osiedliły. Dwaj synowie dziadka-mój ojciec Wojciech Ozga oraz Adam Ozga osiedlili się tu na stałe, budując nowe domy i prowadząc gospodarstwa rolne do roku 1943. Trzeci syn dziadka osiedlił się na sąsiedniej wsi Załuże. Obie wsie dzieliła rzeka Swirz, która co roku wzbierała zalewając duże obszary łąk i napęlniając okoliczne stawy. Stąd prawdopodobnie wywodzi się nazwa „Berestawy”, trochę zrusyfikowana, ponieważ połowa mieszkającej tu ludności była narodowości ukraińskiej i podlegała administracyjnie pod ukraińską gminę Czerniów. Karolówka wraz z kolonią Berestawy przynależała do gminy i miasteczka Bukaczowce, powiat Rohatyn. Polskich rodzin na Berestawach mieszkało ponad dwadzieścia. Byli to:

1. Ozga Wojciech (to my - 4 - osobowa rodzina)
2. Ozga Adam (brat ojca - 6 - os. rodzina)
3. Majcher Jakub (sąsiad, kolega ojca - 6 osób).
4. Woś Jan (sąsiad - 6 osób)
5. Woś (około 4 osób)
6. Jacek Julian (5 osób)
7. Jacek Stanisław (4 osoby, prowadził warsztat tkacki)
8. Jacek Kazimierz (4 osoby)
9. Kieryk (4 osoby)
10. Molenda (3 osoby)
11. Sudoł (3 osoby)
12. Sidor (około 4 osób)
13. Ostrowski Józef (ok. 3 osoby)

14. Wiącek (ok. 2 osoby)
15. Wolak (ok. 5 osób)
16. Kochman Leszek - Mieczysław (ok. 2 osób)
17. Kozdęba Tadeusz, Jakub (3 osoby)
18. Krzywonos (3 osoby)
19. Widawski (ok. 4 osoby, rodzina kolejarza, najbogatszy we wsi, posiadający willę z dużym ozdobnym ogrodem.)

Było jeszcze kilka polskich rodzin, których nazwisk nie pamiętam. Być może ktoś z żyjących z tych stron lub członkowie ich rodzin uzupełniłyby ten wykaz lub inne fakty o których ja nie pamiętam. Jak już wspomniałem miejscowość „Berestawy” na mapach rejestracyjnych nie występuje, chciałem przybliżyć czytelnikom jej usytuowanie. „Berestawy” są położone przy głównej drodze (z równoległą drogą wiejską) pomiędzy Żurowem i Chodorowem, a Czerniowem i Bukaczowcami. Parafią i gminą były Bukaczowce. Jednak ludność polska uczęszczała do kościoła w Żurowie, ze względu na mniejszą odległość. Proboszczem w Żurowskiej parafii był ks. Adam Dziedzic (który jeszcze w 1943r. udzielił mi komunii Św.). Po zburzeniu kościoła przez Ukraińców, księdza los jest nam nie znany. Najbliższa polska szkoła dla dzieci z Berestawów była w odległej 2-3 km. w Karolówce, oraz na Załużu (3 km.). Wiele dzieci rezygnowało z uczęszczania do szkoły ze względu na odległość, a przede wszystkim z lęku przed szantażem rozwydrzonych Ukraińców z wiosek przez które dzieci musiały przechodzić (był to pobicia, wyzwiska, ściganie na koniach i bicie batogami itp.) . Srogie zimy też były przeszkodą. Zaspasy śnieżne sięgały czasem wysokości domów, zasłaniając całkowicie okna. Ubrania dzieci też były nie dostosowane. Latem dzieci do szkoły chodziły boso, często ich stopy były poobijane i pokaleczone. Dlatego też na ogół wybierano szkołę na Załużu, chodziły na skróty przez rzekę Świrz. Zimą przez zamrożoną rzekę, zaś latem przechodząc przez nią z ubraniem i tornistrem na plecach. Na „Berestawach” domy ludności polskiej i ukraińskiej były budowane na przemian, stanowiły więc sąsiedztwo. Na ogół ludzie żyli w przyjaźni. Zapraszali się nawzajem na uroczystości świąteczne. Czasem zawierali mieszane związki małżeńskie. Dopiero wkroczenie niemieckich wojsk w czasie II Wojny światowej i ciche przyzwolenia Ukraińcom na rozwój bandyckiej organizacji UPA, sprzyjały wrogim występom Ukraińców przeciw ludności polskiej. W 1943 r. nasiliły się napady i morderstwa dokonywane na Polakach w woj. Stanisławowskim (najwcześniej zaczęły się w woj. wołyńskim.) i stopniowo przenosiły się na rejon powiatu rohatyńskiego - ludność polska przede wszystkim zamieszkała we wsiach, była coraz bardziej zagrożona. Coraz częściej zdarzało się morderstwa i podpalania domostw rodzin polskich. Na „Berestawach” żyliśmy w ciągłym stresie i niebezpieczeństwie. Brak było jakiegokolwiek ochrony. Czuwaliśmy całymi nocami. W cieplejsze noce spaliśmy w ogrodzie osłonięci wysokopienną fasolą lub grochem. W inne noce chroniliśmy się na strychu domu wciągając drabinkę przez właz odpowiednio zamaskowany pokrywą. W dachu był też specjalnie wykonany i zakryty otwór, służący do ucieczki w razie podpalenia domu. Ale na dłuższą metę nie zapewniało to bezpieczeństwa. Banderowcy byli coraz bardziej agresywni. Ukazywali się nawet w dzień uzbrojeni nie tylko w noże i siekiery, ale i w broń palną z granatami za pasem. Ludność ukraińska coraz bardziej stawała się nieprzyjazna, skryta i małomówna, choć zdarzały się przypadki, że ostrzegali Polaków. Gdy prawie co wieczór obserwowaliśmy w oddali łuny palących się domów okolicznych wsi (m.in. Karolówki, Załuża, Żurowa itd.), a docierające wieści informowały o zamordowanych Polakach (nawet całych rodzin), wówczas podjęliśmy decyzję o ucieczce na Łukowiec. Pozostawiliśmy cały dobytek, nowo wybudowany dom wraz z zabudowaniami i całe mienie. Moja rodzina miała pewne ułatwienie w przeprowadzce, ponieważ mieliśmy krewnych na Łukowcu, z którymi utrzymywaliśmy kontakt. Na Łukowiec przywiozł nas swoją furmanką późną jesienią 1943r., krewny Tadeusz Ostrowski (odważny kuzyn, 15-letni młodzieniec).

Przejechaliśmy szczęśliwie przez niebezpieczne punkty i miejsca (np. wieś Wandolina, przydrożne lasy), gdzie grasowały już ukraińskie bandy i często napadały na podróżujących Polaków.

II. NA ŁUKOWCU.

Na Łukowcu zamieszkaliśmy u rodziny Ostrowskich (krewnych), na ul. Zielonej. Rodzina moja składała się z czterech osób: Ojciec - Ozga Wojciech, mama - Stefania (z domu Ostrowska), brat - Tadeusz i ja - Kazimierz. Rodzina Ostrowskich w tym czasie składała się z sześciu osób, to jest.: Ostrowski Jan z żoną, córka Karolina i synowie - Józef, Tadeusz i Kazimierz. Potem jeszcze dotarła babcia Ostrowska z synem z Żurowa. Wszyscy mieszkaliśmy razem w jednym pokoju i kuchni. Traktowani byliśmy rodzinnie, choć były trudności z wyżywieniem i miejscami do spania. Niejednokrotnie trzeba było zadowolić się kromką chleba, posypaną cukrem i polaną wodą. Rodzice moi na Łukowcu zajmowali się pracą najemną (przeważnie w polu), a ja w czasie poza szkolnym pomagałem rodzinie w wypasie bydła i koni na odległym wspólnym pastwisku zwanym „Nidwy”. Rodzina uczestniczyła też w społecznych pracach w ramach samoobrony. Pracowaliśmy wszyscy przy budowie dużego schronu dla ludności, wydrążonego w pagórku przy stawiku za domem Żaka. Nieraz korzystaliśmy z niego w razie łapanek lub nalotów bombowych. Dorośli i młodzież uczęszczali na różne szkolenia, ćwiczenia i warty z bronią pod ogólnym nadzorem Edwarda Polaka i legendarnego Pioruna”. Na Łukowcu mieliśmy też przyjaciół i przychylnych sąsiadów łukowian np. Franciszka Burdzego (sąsiada który zginął z rąk niemieckiego oficera niemal na moich oczach), Misów (Józefa, którego fotografia jest zamieszczona w zeszycie nr. 3 str. 4.). Januszów (Józefa), Halickich (Konstanty), Gwoździeńskich, Żaków i wielu innych łukowian z ul. Zielonej, Dolno-Zielonej (m.in. Góraki, Wosie) i Holeszowskiej (m.in. Stępnie, Kurzawy), wymienionych w zeszytach Łukowieckich, o których się mile czyta i wspomina. Z ich dziećmi przyjaźniłem się, chodziliśmy razem do szkoły na ulicę Holeszowską gdzie nauczycielem był Pan Burdzy (chyba Marian), który po wojnie zamieszkał na Wałach Śląskich koło Brzegu Dolnego, a obecnie prawdopodobnie mieszka w Lubinie. Po kilku miesiącach bytowania u rodziny Ostrowskich, zaczęło się robić ciasno, bo jak już wspomniałem wcześniej dotarła jeszcze babcia z Żurowa, która uciekła z podpalonego przez Ukraińców domu. W takiej sytuacji moim rodzicom udało się wynająć mały domek u Pana Kozła Aleksandra. Domek był opuszczony przez jego ojca i stał pusty. Kozłowie mieszkali w pobliżu pomiędzy ulicą Zieloną a Dolnozieloną od strony Starego Łukowca. W domku Pana Kozła czuliśmy się gospodarzami. Nikt nam się nie wtrącał, byliśmy jak na swoim. Pan Aleksander był zacnym człowiekiem. Żona jego Maria była pochodzenia ukraińskiego z pobliskiego Wiszniowa, a córka Leokadia (Lidka), przyjaźniła się ze mną. Pewnego razu zdradziła mi ich tajemnicę. W ukryciu przechowywali żydówkę. Miała ładnie urządzone i umeblowany pokój w piwnicy pod domem z zamaskowanym wejściem. Po wojnie Pan Aleksander wyjechał z nią z Łukowca. A my znów po kilkumiesięcznym zamieszkaniu musieliśmy opuścić domek. Przyjęła nas pod swój dach Pani Gwoździeńska Maria, prowadząca gospodarstwo rolne. Mąż jej Antoni był na wojnie, a w domu pozostała trójka małoletnich dzieci (Janka, Adela i Wisia). Wszyscy oni także wymagali pomocy i rąk do pracy. I znów było ciasno, ale przytulniej przyjemnie. Mieszkaliśmy ośmioro w jednym pokoju i kuchni. Ojciec pomagał w prowadzeniu gospodarstwa z udziałem pozostałych domowników. Ja kontynuowałem naukę. Ale szczęście mi nie dopisywało. Na wiosnę w 1945 r. zostałem zraniony w stopę nogi, przez co musiałem przerwać naukę. Później latem złamałem nogę spadając nieszczęśliwie z czereśni u ciotki Karolki. I znów rodzina przyszła mi z pomocą. Tadeusz Ostrowski zawiózł mnie furmanką do lekarza do Żurawna, a stąd do szpitala w Stryju (odległość ok. 40 km.). Po założeniu gipsu na nogę i krótkim pobycie w szpitalu, ponownie Tadeusz przywiózł mnie na Łukowiec, za co do dzisiaj jestem mu wdzięczny. Na zdjęcie gipsu z nogi już nie pojechałem do szpitala. Sam po kawałeczku

obcinałem go nożem i piłką. A kiedy stanąłem już na nogi z pomocą kuli, zaczęły się przygotowania do wyjazdu w nieznane t.j. na Ziemie Odzyskane. W październiku 1945 r. w pamiętnym dniu wyjazdu porzuciłem kule i stanąłem na własnych nogach. I tak rozstaliśmy się z Łukowcem, ale nie z łukowianami, ponieważ dalsze losy nas wszystkich były podobne, a nawiązane więzi i przyjaźnie pozostały do dziś. Wspomnienia moje byłyby niepełne bez opisanie jeszcze kilku ważnych wydarzeń, w tym tragicznych. Jak wiadomo ludność okolicznych wsi, która chroniła się na Łukowcu, pozostawiła cały swój dobytek zabierając ze sobą tylko to co unieśli, ewentualnie przywieźli furmanką. Toteż zdarzały się przypadki wracania do swoich domów (lub na spalone zgłiszczu) po pozostawione tam rzeczy, narażając się w ten sposób na śmiertelne niebezpieczeństwo. Tak było z naszą babcią Katarzyną Ostrowską. Po raz pierwszy poszła na pogorzelisko zabrać pozostawione w ziemiance (kopcu), upieczone ciasta kukurydziane. Pamiętam, jak strasznie były przesiąknięte spalenizną ale w obliczu głodu wszyscy jedliśmy je ze smakiem. Drugim razem poszła po jakieś nie spalone rzeczy i przy okazji odwiedziła w pobliżu na „Berestawach” swoją córkę Anielkę (będącą w zaawansowanej ciąży), zamężną za Ukraińca Aleksandra Zabłockiego (szewca). Tym razem już nie powróciła. Obie matka z córką zostały bestialsko zamordowane w pobliskim lasku. Anielka pozostawiła małoletniego synka Władysława, którego wychował ojciec i jego ukraińska rodzina. Władek (już młodzieniec) o tym, iż miał matkę Polkę i polską rodzinę dowiedział się od swojej macochy, ale dopiero wtedy, jak łukowianin Tadek Ostrowski kilka lat po wojnie odwiedził krewnych w Hodorowie i wujka w Żurowie, a przy okazji Aleksandra Zabłockiego z synem. Władek był zaskoczony tą wiadomością a jednocześnie oczarowany zachowaniem i wyglądem kuzyna z Polski (jak później mówił - elegancko ubranego w garniturze i krawacie), oraz fotografią swojej matki Polki (na zdjęciu ładnie ubrana w białych rękawiczkach i berecie), którą po raz pierwszy zobaczył. Postanowił więc odwiedzić swoją rodzinę (ciocię i wujków) w Polsce. Co mu bardzo odradzano i w czym mu przeszkadzano. Uparcie jednak dążył do odwiedzin i dokonał swego, przyjechał na Dolny Śląsk. Był zauroczony poziomem życia w Polsce. Odjechał zadowolony, odpowiednio ubrany i z prezentami. Po powrocie musiał to odpokutować, był dyskryminowany przez ukraińską rodzinę i władze. Otrzymał zakaz wyjazdu do Polski, a sowieccy agenci w Polsce, jeszcze w latach osiemdziesiątych (po przemianach solidarnościowych) dokonywali wywiadów u rodzin polskich (krewnych) o ewentualnych kontaktach Władka. Na uwagę zasługuje pewien dotychczas nieznany dla nas fakt. Otóż moi znajomi (Mieczysław i Leszek Kochman z Kamiennej Góry i Jan Ostrowski z Wołowa) odwiedzający jako turyści rodzinne strony na rubieżach, poinformowali mnie, że widzieli pomnik zamordowanej Ostrowskiej Katarzyny z córką postawiony w pobliżu miejsca zbrodni (na skraju Żurowa), ale z dziwnym napisem, że zginęli tragicznie; „z rąk faszystów”.

Wracając do Łukowca; na śmiertelne niebezpieczeństwo narażiła się również moja stryjenka Julia Ozga, chroniąca się na Łukowcu u państwa Wosiów na ul. Dolnozielonej. W czasie „wyskoku” na wieś „Berestawy” na swoje pozostawione włości, została schwytana przez kilku banderowców i doprowadzona do pobliskiego lasu koło Czerniowa w celu stracenia. Prowadzono ją płaczącą przez całą wieś na oczach ukraińskich sąsiadów i wielu znajomych, z którymi się przyjaźniła. Jednak nikt się za nią nie ujął i nie odezwał słowem, pomimo że wiedzieli, gdzie była prowadzona. W lesie o egzekucji decydował dowódca bandy. Kiedy wyszedł ze schronu (bunkru), rozpoznał swoją dobrą znajomą z młodzieńczych lat, która teraz na klęczkach błagała go o darowanie jej życia. I nagle stał się niemal cud. Dowódca wydał rozkaz, aby odprowadzili ją tą samą drogą w bezpieczne miejsce do drogi na Łukowiec. Relacje tą opowiedziała mi osobiście stryjenka (moja chrzestna), będąc już na Dolnym Śląsku we wsi Brunów, a później w Lubinie u zięcia Stanisława Urbaniaka (dawna stacja wysokiego napięcia). Odwlekając swój wyjazd na Łukowiec, również rodzina Huczków z Żurowa, cudem uratowała się z rąk ukraińskich oprawców. Rodzina składała się z czterech osób:

Huczek Michał z żoną Teklą i dwaj synowie Władysław i Stanisław. Poczuli się zagrożeni, gdy zamordowano całą rodzinę Jabłkowskich z Żurowa, w sumie 12 osób i zakopano ich w pobliskim lesie nad rzeką Swirz. Długo i oni nie musieli czekać. Pewnej nocy banderowcy wtargnęli do mieszkania Huczków w celu zabrania ich na egzekucję. Huczkowie będąc w łóżkach, rozebrani, stawiali opór. Jeden banderowiec wyciągnął już nóż i przyłożył do gardła pani Tekli. Wtedy zrobił się wrzask i zamieszanie oraz nieporozumienia pomiędzy banderowcami. Postanowili pójść na naradę do swojego dowódcy, który prawdopodobnie chciał ich zobaczyć żywych. Gdy po raz drugi bandyci wrócili, rodzina już ukryta się w ogrodzie w jakimś stogu drzewa. A o świcie, żeby nie wzbudzić podejrzeń Ukraińców, rozdzielili się i uciekli do miasteczka Bukaczowce. Pan Michał okrył krowę kocem, że niby jest chora i prowadzi ją do weterynarza, przeszedł łąkami i bocznymi drogami do Bukaczowiec. Stąd już szczęśliwie z jakąś obstawą dotarli na Łukowiec, gdzie przebywali do chwili wyjazdu na Ziemie Odzyskane. Tutaj trafili do wsi Jastrzębce koło Środy Śląskiej. Obecnie najmłodszy syn Stanisław będąc już na emeryturze, mieszka w Legnickim Polu. Osobiście złożył mi tą relację.

III WYJAZD NA ZIEMIE ZACHODNIE.

Po około dwuletniej egzystencji na Łukowcu, po zakończeniu wojny, jesienią w 1945r. wyjechaliśmy razem z łukowianami na zachód, ze stacji Chodorów (prawdopodobnie trzecim transportem), o czym w zeszycie nr. 1 już pisano. Dodam więc jeszcze kilka zapomnianych faktów. Przed wyjazdem z Chodorowa, przyjechały wagony towarowe z narodowością ukraińską z Bieszczad i Podkarpacia tzw. Łemkowie, w celu zasiedlenia gospodarstw opuszczonych przez rodziny polskie. Nas ładowano po 3-4 rodziny z dziećmi do jednego wagonu. Naszym wagonem towarowym jechało 3 rodziny: Ożgów (to my), Ostrowskich (Józef) i Hawrysze. Tłoczno było i chłodno na rozłożonych workach i betach. Po miesięcznej zmudnej i ciężkiej podróży, z tygodniowym postojem (koczowaniem) pod gołym niebem na stacji w Toszku (miasteczko na Górnym Śląsku) w związku ze zmianą wagonów na wąskotorowe, dotarliśmy na Dolny Śląsk. Tu jeszcze krążono z nami kilka dni. Byliśmy nawet na stacji w Nysie, Żmigrodzie, i jeszcze gdzieś. Wreszcie dowieźli nas do stacji docelowej w Wołowie. Na peronach było ciasno, gdyż znajdowały się tu przygotowane do wywozu (chyba na wschód) w skrzyniach i opakowaniach drewnianych, duże ilości rowerów, motocykli i maszyn do szycia. Ze sprzętu tego częściowo „korzystano”, gdyż był słabo chroniony. Młodzież uczyła się jeździć na rowerach, które stały na peronach (przeważnie bez opon). Dorośli (nasi ojcowie) udali się w teren do okolicznych wsi w celu wybrania sobie gospodarstw (jeszcze zamieszkałych przez niemiecką ludność). Rodziny z naszego wagonu, już zaprzyjaźnione, wybrali wieś Grodzanów, położoną nad rzeką Odrą w trójkącie pomiędzy Wołowem, Brzegiem Dolnym i Lubiążem. We wsi była już ludność polska z wołyńskiego oraz Sybiry. Mieszkaliśmy razem z Niemcami (t.j. na jednym gospodarstwie) około roku. Żyliśmy w przyjaźni. Z naszym niemieckim gospodarzem wymienialiśmy się nawet kulinarnie. Po ich wyjeździe do Niemiec, poczuliśmy się prawdziwymi gospodarzami. Na początku było ciężko, nie było jeszcze prądu. Ciężkie maszyny rolnicze (np. snopowiązałki) zabierano do nowotworzonych PGR-ów. Z czasem dostosowaliśmy się do nowych warunków. Wkrótce zaczęli do nas dołączać członkowie rodzin zwolnieni z wojska po zakończeniu działań wojennych.. Byli pobrani do wojska na Wschodzie, a tam już nie mogli wrócić, bo ich rodzin już nie było. Zaczęły się poszukiwania poprzez Czerwony Krzyż. Do Grodzanowa powrócił z wojny (z II Armii W.P.) brat mamy, wujek Michał Ostrowski. Również rodzinę swoją odnalazł we wsi Gliniany, Antoni Gwoździeński pobrany z Łukowca do wojska. Jeden z moich wujków Tadeusz Cizio z Żurowa, po powrocie z wojny poszukiwał rodziny ewakuowanej na zachód przez 10 lat. I wreszcie znalazł ją w Grodzanowie i Lubiążu. Wracając do transportu w Wołowie - większość repatriantów t.j. łukowianie, osiedlili się koło Brzegu Dolnego we wsiach; Wały Śląskie, Stary Dwór i Jodłowice. Pozostali osiedlili się we

wsi Gliniany k/ Lubiąża. Niektórzy zamieszkali w miastach t.j. w Wołowie, Brzegu Dolnym, Lubiążu. Wkrótce po osiedleniu zaczęliśmy się odwiedzać. Na Starym Dworze odwiedzałem znajomych kolegów: Edwarda Misę, później jego siostrę (nauczycielkę), Stępnia Dołka, Góraków. Na Wałach kolega Kazik Misa sprezentował mi pięknego pieska, który był moim pierwszym zwierzęciem - przyjacielem w Grodzanowie. We wsi Gliniany odnalazłem przyjaciół: Jacki z „Berestawów” i Gwoździeńskich z Łukowca. Kilkakrotnie odwiedzałem rodzinę znajomych w Lubinie i okolicznych wsiach: Górzyca (Hawrysze), Brunów (Oźgi, Majchry, Janusze), Szklary; Puzio Edward, córka Majchera), Chocianów (Oźga Eugeniusz z „Berestawów”), Lubiąż (Tadeusz Ostrowski). Ponieważ inne transporty z Łukowca były kierowane do różnych województw na Dolnym Śląsku, a nawet na Pomorze Zachodnie (Szczecin, Nowogard), toteż łukowian i ludzi mieszkających tymczasowo mieszkających na Łukowcu można spotkać w każdym mieście i większość wsi Dolnego Śląska. Również w Dzierżonowie, gdzie ja zamieszkuję, spotkać można łukowian. Tu zamieszkuje rodzina Gładyszów (mieszkali pomiędzy Starym a Nowym Łukowcem przy głównej drodze) oraz rodzina Korcipów ze Starego Łukowca.

IV. NA ZACHODZIE

Po przyjeździe repatriantów na Ziemie Odzyskane (w moim przypadku na Dolny Śląsk, woj. Wrocławskie, pow. Wołów), spotkał ich awans społeczny i zawodowy. Prawie wszyscy otrzymali rekompensatę za mienie pozostawione na Wschodzie. Były to domy, mieszkania i gospodarstwa na wyższym poziomie o zabudowie murowanej, często z pozostawionymi maszynami rolniczymi i zelektryfikowane. Drogi na ogół były utwardzone. Mój ojciec otrzymał kilkuhektarowe gospodarstwo rolne (we wsi Grodzanów) wraz z zabudowaniami, t.j. duży dom mieszkalny, wielka stodoła na zboże, obory, chlewy, stajnie i pomieszczenia gospodarcze na maszyny rolnicze. Wyposażenie w sprzęt rolniczy obejmowało: wóz konny, bryczka, sanie, pługi, kosiarka, grabarka, kierat, sieczkarnia oraz młocarnia. Tą ostatnią Urząd zarekwirował dla PGR-ów. Ojciec kupił konia, ale ciężkie maszyny nie były przystosowane do pracy z koniem. Na traktor w tym czasie indywidualnie nikogo nie było stać. Rolnicy byli obciążeni podatkami i obowiązkowymi dostawami ledwie egzystowali. I zamiast się rozwijać, popadali w ruinę. Ważniejsze dla państwa były PGR- y i część rolników znalazła tu swoje miejsce pracy, często oddając dla PGR-ów swoją ziemię. W naszym rejonie powiatu wołowskiego, największe PGR- y były m. in. W Lubiążu, Mojęcicach i Pogolewie Małym. Po osiągnięciu wieku emerytalnego przez moich rodziców, dla uzyskania emerytury rolniczej w latach 1960-70 zmuszeni byli (zgodnie z obowiązującą wówczas ustawą) oddać dla państwa nie tylko ziemię, ale i dom z zabudowaniami i przydomową działką. Pozwolono im mieszkać w swoim domu do śmierci. Były to przepisy brutalne (złodziejskie). Pozbawiły mnie i brata do dziedziczenia dorobku (domostwa), wypracowanego przez pokolenia od dziada i pradziada. W późniejszych latach 80-tych wydano nową ustawę, korzystniejszą dla rolników odchodzących na emeryturę, według której pozostawiono już emerytom budynki z ogródkiem do 1,5 ha jako własność wieczystą. Przekazane budynki dla państwa wg. starej ustawy zwrócono tylko emerytom żyjącym. W przypadku zgonu byłych właścicieli (emerytów), pominięto dzieci jako spadkobierców, jeżeli nie zamieszkiwali w domu po rodzicach w chwili, kiedy weszła nowa ustawa. I w ten sposób państwo pozbawiło mnie i wiele podobnych osób do dziedziczenia rodzinnego. Odwołanie w tej sprawie do Urzędu Powiatowego w Wołowie nie dało rezultatu. Dlatego napisałem o tym jako przykład wywłaszczenia niewinnych obywateli przez państwo, z rodowych własności i to zgodnie z literą prawa. A tymczasem wielu obcokrajowców, wnuków i prawnuków obywateli którzy niegdyś porzucili nasz kraj i swoje majątki (które zostały przejęte przez państwo, też zgodnie z ustawą), domagają się obecnie zwrotu tych majątków bądź ich równowartości i oni mają szansę (rekompensat) odzyskania rodzinnej własności.

Wracając do okresu powojennego, należy przypomnieć, że potrzeba odbudowy przemysłu na Ziemiach zachodnich, stworzyła warunki do podjęcia pracy nie tylko robotnikom ale i mieszkańcom wsi. Powstała nowa grupa społeczna tak zwani chłopo-robotnicy. Uruchamiane i rozwijające się zakłady przemysłowe werbuja się pracy i dowożą własnym transportem mieszkańców z okolicznych wsi. Takim zakładem w naszym rejonie były Zakłady Chemiczne „Rokita” w Brzegu Dolnym. Zaczęła się masowa edukacja zawodowa młodzieży i pracowników. W zakładach „Rokita” utworzono przyzakładową szkołę przysposobienia zawodowego dla młodzieży (trzy dni pracy, trzy dni nauki). Później utworzono w Brzegu Dolnym Technikum Chemiczne dla młodzieży z całej Polski. Absolwenci tej szkoły znani byli we wszystkich zakładach w całym kraju. Kilka osób znalazło też zatrudnienie w oddziale galwanizerni w Zakładach Radiowych „Diora” w Dzierżoniowie, gdzie ja pracowałem. Również w Brzegu Dolnym powstaje Liceum Ogólnokształcące, które ukończyła moja bratanica Czesława Ożga z Grodzanowa. Niebagatelną rolę dla mieszkańców wsi tego regionu odegrały Zakłady Ceramiczne w Brzegu Dolnym, w tym cegielnie w Pogolewie Małym, które przez wiele lat dawały dodatkowe zatrudnienie i dochody robotnikom rolnym. Mój brat Tadeusz mieszkający w Grodzanowie przepracował w tych zakładach ponad 40 lat, jednocześnie prowadząc gospodarstwo rolne. Podobnie przepracowali moi wujkowie Michał Ostrowski i Edward Cizio. W zakładach ceramicznych (cegielniach) pracowali też mieszkańcy okolicznych wsi m.in. ze Stobna, Nowej Wsi (Naborów), Zagórzyc, Ratajów, Prawikowa, Pyszając, a nawet z wiosek z za Odry - Słupia i Rzeczycy i innych. Przy cegielni w Pogolewie Wielkim pobudowano baraki dla ludności greckiej (azylanci-grecy partyzanci), a potem robotnicze bloki mieszkalne. Zamieszkiwali tu i pracowali również łukowianie m.in., Adela Gwoździeńska (z Gliniany), Majcherówna (ze Szklar), nazwiska panińskie- Syndyka (ze Słupia) i Baran (z Rzeczycy). Po przyjeździe na Zachód w początkowym okresie na wsiach nie było szkół. W naszym regionie powiatu wołowskiego była jedna szkoła podstawowa w Stobnie, do której uczęszczały dzieci z około 10-ciu wiosek. Musiały pokonywać odległość około 4 km., drogami polnymi, niejednokrotnie zabłoconymi i zaśnieżonymi. Po ukończeniu szkoły podstawowej, młodzież gromadziła się przeważnie do Liceum Pedagogicznego (najczęściej w Legnicy i Wrocławiu), widząc w tym perspektywę życiową na przyszłość. I tak się stało. Po ukończeniu szkoły jako pedagodzy wrócili do wiosek aby nauczać młodzież na miejscu. Prawie w każdej wsi utworzono 4-ro klasowe szkoły podstawowe, a w większych wsiach nawet 7-mio klasowe szkoły podstawowe (np. w gminie Mojeńcinie powstała szkoła 7-mio klasowa). W Grodzanowie funkcjonowała szkoła 4-ro klasowa, w której nauczycielem był mieszkaniec tej wsi Kazimierz Kołtun. Ja będąc mieszkańcem Grodzanowa, po ukończeniu szkoły podstawowej w Stobnie, do dalszej edukacji wybrałem kierunek techniczny, podjąłem naukę w Gimnazjum Radiotechnicznym, a następnie Technikum Radiotechniczne w Dzierżoniowie. Tutaj też podjąłem pracę w zawodzie w Zakładach Radiowych „Diora” i dalszą edukację zaocznie. Ukończyłem wyższe studia ekonomiczne I-go i II-go stopnia na Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu. Pracując w dużym przedsiębiorstwie (kilka tysięcy pracowników) uzupełniałem również swoje kwalifikacje na różnego rodzaju kursach (np. mistrzowskie, telewizyjne, informatyczne, organizacji i zarządzania) i nabierałem doświadczenia zawodowego, awansując na poszczególne szczeble hierarchii zawodowej, od pracownika fizycznego (radio-montera), poprzez brygadzystę w produkcji sprzętu radiowego, mistrza, starszego mistrza, kierownika rozdzielnicy produkcyjnej do kierownika oddziału produkcyjnego, kierownika Działu Organizacji. Produkcji i Specjalisty do spraw Organizacji i Zarządzania Przedsiębiorstwa Wielozakładowego, jakim były Zakłady Radiowe „Diora” w Dzierżoniowie z filiami w Wałbrzychu, Jaworze, Świdnicy, Nowej Rudzie, Lewine Brzeskim i we Wrocławiu. Opracowałem wiele aktów prawno-organizacyjnych (instrukcji, zasad funkcjonowania itp.), dotyczących funkcjonowania całego przedsiębiorstwa i poszczególnych jego dziedzin. Moje

zaangażowanie zawodowe i społeczne (m.in. w Związkach Zawodowych, w Komisjach Zakładowych i Wojewódzkich, jako radny miasta itp.) zostało uwieńczone wieloma dyplomami, srebrną i złotą odznaką zakładową medalem 40-to lecia i Srebrnym Krzyżem Zasługi. W latach 90-tych, kiedy większość zakładów zaczęła padać i żadna restrukturyzacja nie przynosiła efektów, zaczęły się redukcje pracowników i ograniczenia produkcji, co spotkało również Spółkę Akcyjną „Diora”, odszedłem (zgodnie z nową ustawą) na wcześniejszą emeryturę. Po kilku latach ogłoszono upadłość, (niegdyś jednego z największych zakładów w tej branży) „Diory”, która następnie przeszła w stan likwidacji. Tysiące pracowników i setki wysoko wykwalifikowanej kadry w różnych zawodach, została w większości przypadków bez pracy. Ja będąc na emeryturze zamieszkuję nadal w Dzierżoniowie z żoną Ireną (też emerytką). Mam troje dzieci, syn Dariusz mieszka też w Dzierżoniowie, a syn Krzysztof i córka Sylwia mieszkają we Wrocławiu i mają już swoje rodziny. I tak kończy się krótka historia jednej z wielu podobnych rodzin przesiedlonych ze Wschodu na Zachód.

Autor: Kazimierz Ozga

Pierwsze lata na Ziemiach Zachodnich

Po przyjeździe na Ziemię Odzyskane rodzina moja tj. Ozga Wojciech z żoną Stefanią (z domu Ostrowska) i synami Tadeuszem i Kazimierzem, osiedliła się we wsi Grodzanów, pow. Wołów, woj. Wrocławskie. Osiedlenie było poprzedzone wstępnymi oględzinami gospodarstwa poniemieckiego i domu mieszkalnego. Dom składał się z dwóch części: starego dużego domu (piętrowego) zajmowanego jeszcze przez rodzinę niemiecką oraz z dwu pokojowej przybudówki, którą nam zaoferowano. Rodzina niemiecka o nazwisku Guske (czyt. Guzki) składała się z 4 osób, tj. seniora Adolfa, juniora syna Berthalda z żoną Martą i córką 11 letnią Marią. Starszy Guske Adolf - były żołnierz armii niemieckiej pierwszej wojny światowej. Lotnik wyróżniony dyplomem za zasługi wojenne (dyplom wisiał na ścianie w pokoju). Syn jego Berthold - aktualny gospodarz, były żołnierz II Wojny światowej. Niestety ranny, poruszający się za pomocą kuli chodząc na jednej nodze. Taka rodzina niemiecka przywitała nas przed domem w jesienne popołudnie w 1945 roku. Kiedy ze wsi Stobno furmanka Kazimierza Siomiaka przywiozła nas ze stacji Wołów na posesję obranego gospodarstwa. Niemcy patrzyli na nas z ciekawością i uśmiechami na twarzach - jak na przybyszów z innej planety. Byliśmy ubrani w pomiętych łachmanach podróżnych, na bosaka i z tobołkami w rękach, ale za to uśmiechnięci i radosni, że wreszcie dotarliśmy do celu. Z Niemcami początkowo porozumiewaliśmy się na migi i każdy w swoim języku, niewiele rozumiejąc. Pomimo tego pomogli nam w uzupełnianiu niezbędnego sprzętu domowego między innymi; łóżek, stołu, krzeseł itp. Wdzięczni rodzice już na drugi dzień zrobili przyjęcie gospodarzy w nowo urządzonym mieszkaniu. Oczywiście z polską gościnnością częstując ich między innymi ruskimi pierogami i tradycyjnie polskim alkoholem. Niemcy byli początkowo nieufni, ale jednocześnie zdziwieni naszym ludzkim towarzyskim zachowaniem. Zaczęliśmy nawiązywać częstsze kontakty towarzysko- sąsiedzkie, uczyć się pojedynczych słówek obcego języka, a sprzyjała temu ich córka Maria będąca w moim wieku, z którą bawiliśmy się na wspólnym ogrodzie. Niemcom po wojnie też nie wiodło się najlepiej. Po przejściu frontu, zostali ograbieni i ogołoceni zarówno przez wojska niemieckie jak i sowieckie oraz różnego rodzaju złodziejasków. Ukrywając się w czasie działań wojennych, często pozostawiali swoje mienie bez opieki. Toteż nie mieli odpowiednich zapasów żywnościowych. Codzienną ich dietą był syrop, melasa i jakaś dziwna winno- kwaśna marmolada, zdobywane po znajomości z pobliskiej cukrowni w Malczycach. Tym i nas częstowali. Robili też dziwne wypieki pieczywa we własnym piecu chlebowym. Ku naszemu zaskoczeniu, do mielenia zboża stosowali znane nam już ze Wschodu żarna, wykonane we

własnym zakresie. Wtedy jeszcze linie energetyczne były zniszczone, więc urządzenia techniczne jak młynki, śrutowniki stały nieczynne. I w takich warunkach wkraczaliśmy w pierwszą nadchodzącą zimę. Drzewa na opał nie brakowało, gdyż z pobliskich lasów można było korzystać, a i rzeka Odra wylewając na wiośnię przynosiła wiele belek wprost na podwórko. Rozlewisko obejmowało kilku kilometrowe powierzchnie łąk i sięgało pod same domy mieszkalne. Ponadto Niemcy pokazali nam źródło darmowego węgla z częściowo zatopionej barki na Odrze. Gorzej było z ciepłą odzieżą. Ale ku zdziwieniu Niemców radziliśmy sobie, przerabiając poniemieckie stare ciuchy na nowe ubrania czy kurtki i chodząc w używanych butach, za dużych o kilka numerów. Zdobyliśmy też od żołnierzy rosyjskich czapki zimowe tzw. uszatki, w ramach wymiany za alkohol bądź papierosy. Rosjanie czasem podjeżdżali nad Odrę wojskowymi samochodami ciężarowymi, w celu odebrania wyłowionych (wcześniej ogłuszonych dynamitem) ryb. Niekiedy zrzucili nam wielką rybę (kilkukilogramową). Wtedy przez kilka dni była frajda i wielka uczta razem z Niemcami. Gdy nastała wiosna w 1946 roku, w celu dalszej egzystencji zaczęliśmy razem z Niemcami uprawiać przyzagrodową ziemię i zasadzać warzywami. Ojciec ze starszym bratem zabrali się za łopaty i kopali grządki. Natomiast ku naszemu zdziwieniu dotychczasowy gospodarz Berthold Guske, o kuli i jednej nodze zaprzęgnął się do małego pług i przy pomocy żony orał zagon pola. Robił to z wielkim wysiłkiem, upartością i niemieckim zacięciem. Pomoc sąsiedzką niezbyt chętnie przyjmował i z pewnym zażenowaniem. Widać było, że ciężko przeżywał klęskę Niemców jak również inwalidztwo wojenne i upadek własnego gospodarstwa. Bieda zaglądała im w oczy. W ramach handlu wymiennego oddawali Polakom różne przedmioty i urządzenia np. wymieniali narty lub rowery za bochenki chleba. Od swych znajomych niemieckich sterników- mechaników zatrudnionych po wojnie na polskich barkach lub rosyjskich dużych motorówkach (ciągnikach wodnych) stanowiących wówczas transport rzeczny, Niemcy dostawali duże beczki z oliwą jadalną (stosowaną do smażenia). Myśmy też czasem z tego grzecznościowo korzystali. Niemcy handlowali też tytoniem (w postaci sprasowanych suszonych liści) sprowadzanym z nieznanых źródeł. Łowili też ryby, szczególnie w pobliskich stawach napełnianych wodą i rybami w czasie wiosennych wylewów rzeki Odry. Mieli do tego odpowiednie saki i sieci. Niektórzy mieli jeszcze własne łodzie, którymi przewozili również na drugi brzeg Odry swoich znajomych i rodziny (czasem za drobne datki). Była to jedyna droga przedostania się za Odrę do innych wsi lub Środy Śląskiej. Bowiem pobliski most w Lubiążu został w czasie wojny zniszczony, a promy w Malczycach i Brzegu Dolnym jeszcze nie funkcjonowały. My przybysze (repatrianci) byliśmy początkowo też w nienajlepszej sytuacji materialnej. Lato jednak łatwiej było przeżyć, warzywa, ziemniaki, owoce mieliśmy już własne. Również korzystaliśmy z runa leśnego i przydrożnych drzew owocowych. Z Niemcami coraz bardziej się rozumiealiśmy, ze względu na podobne warunki bytowe jak i coraz większą znajomością języka niemieckiego (tzw. gwarowego lub potocznego). Podstawowe słówka mieliśmy opanowane. Dzieci i młodzież polska z konieczności spotykała się z młodzieżą niemiecką. Podczas wspólnych zabaw różnie to bywało. Czasem dochodziło do przepychanek, bójek czy różnych wyzwick. Pewnego razu w obronie koleżanki (której dokuczaliśmy), stanął dobrze zbudowany Niemiec, rzucił się na mnie i przewracając na ziemię, niechcąc wykręcił mi w łokciu rękę. Bardzo się wystraszył sytuacją przepraszał, ale dla niemieckiej koleżanki stał się bohaterem. Inny niemiecki kolega Konrad, syn sąsiadki - wdowy po poległym na wojnie wyższym niemieckim oficerze - bardzo był zaprzyjaźniony z kolegami polskimi. Umożliwiał nam przeglądanie setek gazet i kolorowych pism przysyłanych przez lata dla niemieckiego oficera. Korzystaliśmy z ciekawych zdjęć, fotosów i różnorakich obrazków. Konrad częstował nas owocami z własnego dużego ogrodu. Razem likwidowaliśmy znalezione niewypały powojenne w rozpalanych ogniskach, strasząc przechodniów hukami eksplozji - ku wielkiej uciechy „psotników”. Którejś soboty Konrad zapowiedział, że jutro w niedzielę

będziemy głuszyć ryby w stawach, bo znalazł jakieś granaty. Gdy w niedzielę wróciliśmy z kościoła, zastaliśmy Konrada martwego, posiekanego odłamkami prawdopodobnie granatnika moździerzowego. Żal nam było dobrego niemieckiego przyjaciela i samotnej podwójnie nieszczęśliwej matki. Miłym akcentem ze strony „naszych” Niemców było pokazanie wiszących na ścianach świętych obrazów katolickich z podwójnymi napisami tj. w języku niemieckim i polskim -jako symbolu jedności w wierze w jednego Boga. Jeden z tych obrazów przechował się do dnia dzisiejszego. Rodzina niemiecka Guske była katolicka. Początkowo chodziliśmy razem do jednego kościoła w Zagórzycach i Ratajach, gdzie odprowadzana była msza w języku niemieckim. W późniejszym czasie naszą polską parafią był kościół w Stobnie, oddalony o 4 km. Gdy zbliżała się następna zima i wysiedlenie ludności niemieckiej stało się faktem nieuniknionym, młody jeszcze wówczas Berthold Guske zamartwiał się bardzo. Był smutny, małomówny i godzinami wystawał na jednej nodze wpatrując się w pola, pobliskie lasy i połyskującą nieopodal rzekę Odrę. A kiedy furmanka podjechała na podwórko, Niemcy załadowali swoje tabołki i tak jak my niegdyś - odjechali ze łzami w oczach w nieznane im strony - do Niemiec Demokratycznych. Rozumieliśmy ich przeżycia i cierpienia. Współczuliśmy im serdecznie. Ale taki los zgotował im własny narodowy przywódca, w którego wszyscy Niemcy tak wierzyli. Po wyjeździe Niemców poczuliśmy się prawdziwymi gospodarzami na swoim. Ale przez wiele lat szła fama, że to okres przejściowy, że Niemcy powrócą a my będziemy musieli odejść. Dlatego też na Ziemiach Zachodnich Polacy nie mieli przekonania do budowy, rozbudowy, bądź renowacji ponemieckich gospodarstw. Przez kilka lat nie mieliśmy z rodziną niemiecką żadnych kontaktów. Dopiero w latach sześćdziesiątych niespodziewanie odwiedził nas w Grodzanowie były właściciel Berthold Guske wraz z córką Marią i zięciem Ludwigiem Renzem. Zaprosiła ich jakaś bliska rodzina z Zielonej Góry. Wielka to była radość ze spotkania po tylu latach. Berthold chodził już na dwóch nogach. Dorobili mu protezę. Maria już mężatka, miała córkę Kornelię. Zięć Ludwig przywiózł ich popularnym wówczas trabantem. Rozmowa była ułatwiona, bowiem Ludwig pracował kilka lat w Polsce przy budowie Petrochemii w Płocku, więc nieco rozmawiał po polsku, bądź tłumaczył rodzinie. Była znów gościna po polsku. Były właściciel z wielką starannością rozglądał się po gospodarstwie i całym otoczeniu. Na polach wyrósł las. Stare drzewa w ogrodzie poznikały. W gospodarstwie, za wyjątkiem nowego „przybytku” i szopy na opał, nic nie przybyło. Garaże i wielka stodoła opustoszały. Ciężkie maszyny (młockarnie, siewnik, walce), zarekwirowano do PGR-ów. Trzoda skromna i jeden konik. Toteż znów łezka błysnęła mu w oku. Najbardziej ze spotkania zadowolony był Ludwig, gdyż cieszył się z nowej znajomości i jak zwykle z polskiej gościnności, jaką zgotowali im moi rodzice. Miał sympatię do Polaków. Postanowił odwiedzać nas częściej i traktować jak polską rodzinę. Niemcy zostawili nam zdjęcia rodzinne w nowo wybudowanym domu oraz swój adres w NRD. Jednak przez wiele lat starań w NRD nie udało im się uzyskać wizy do Polski pomimo naszych zaproszeń. Ciągłe im odmawiano, lub nie dawano odpowiedzi. Pisał do mnie później: Jak ruski pozwoli, to dopiero się zmieni i będziemy mogli się odwiedzać. Dopiero w latach osiemdziesiątych, gdy nastała moda na różnego rodzaju grupowe wycieczki zorganizowane do krajów demokratycznych, skorzystałem i ja z takiej wycieczki do NRD. Mieszkając w hotelu niedaleko miasta Austed, miejscowości w której mieszkali znajomi Niemcy - zaprosiłem ich do siebie. Z chęcią przyjechali w odwiedziny w składzie: starsza już pani (była właścicielka) Marta Guske, córka Maria z zięciem Ludwigiem i 20-letnia wnuczka Kornelia. Spotkanie przebiegało w miłej atmosferze w kawiarence, przy udziale kolegi tłumacza. Byłem do tego przygotowany, więc zrobiłem im jeszcze jedną niespodziankę po polsku. Przy zastawionym stole, każdemu z gości wręczyłem drobne prezenty według wieku i upodobań (np. czapeczki letnie, korale, zapalniczki itp.). Byli bardzo zaskoczeni po raz wtóry polską gościnnością. Po wielkiej naradzie i uzgodnieniu zrewanżowali się kilkoma markami z przeznaczeniem na zakup

wybranego upominku. Wnuczka Kornelia miała już narzeczonego, więc zapewne wkrótce wyszła za mąż. Potem dość długo korespondowaliśmy ze sobą. Wymienialiśmy listy, kartki świąteczne i okolicznościowe. Wiele radości i zabawy sprawił im wysłany przeze mnie słownik polsko-niemiecki. Nie skorzystali w praktyce z niego, gdyż pomimo dalszych starań o wizę na przyjazd do Polski - zgody nie otrzymali. W 1988 roku będąc ponownie w NRD na wczasach w miejscowości Bantikow koło Kyritz dość odległej od zamieszkania naszych znajomych Niemców, porozumieliśmy się tylko korespondencyjnie. Ze względu na chorobę Ludwiga nie doszło do spotkania. Więc wysłaliśmy im z miejsca pobytu pamiątki polskie, między innymi: wazon kryształowy, korale, brosze itp. Za co nam listownie podziękowali. Po pewnym czasie otrzymałem z Niemiec od Marii smutną wiadomość, że jej mąż Ludwig po długiej, ciężkiej chorobie zmarł, nie doczekawszy się upadku muru berlińskiego i upragnionych, swobodnych wyjazdów do Polski. Po tym fakcie otrzymaliśmy jeszcze kilka kart z pozdrowieniami od Marii z córką i żyjącą wówczas jej matką Martą ale niestety już bez Ludwiga. Aktualnie nie znam losu tej rodziny, ale zamierzam znowu do nich napisać. Na ich byłym gospodarstwie pozostała tylko jedna osoba, to jest mój starszy brat Tadeusz Oźga - emeryt.

Informacja do ew. wykorzystania
w Dzierżoniowie mieszka mój znajomy
Tukowianin z ul. Holeszowskiej:
Gładysz Józef z żoną Marią
syn Wojciecha
dziadek Winiogradzki Walerii (z ul. Holeszowskiej)
babcią Ewą z domu Burdzy.
Przybył transportem do Środy Śląskiej
Osiedlili się w Osičku k/Kostomłotów.
Rodzina Gładysza Wojciecha - składała się z 4 osób
Uwaga: do ew. kontaktu w Osičku
należałby być Pawlik Edward
(podobno dużo pamięta).

X Wyjazd z Łukowa rodzinny Ostrowskich na Ziemię Odryską

Rodzina Ostrowskich zamieszkiwała na Łukowie Nowym (Żurońskim), na ul. Zielonej. Składała się z ~~11~~ osób. W okresie 1943-45 zamieszkiwało tylko 5 osób. Pozostali byli poza domem (ucieleń do wojska, na służbie, gdzie wyjechali w inne rejony). W tym okresie dali schronienie przed bandami ukraińskimi dwóm rodzinom tj. Ożgów (4 osoby) ~~z Łukowa~~ z Karolówki (kolonia Berestaw) i Ostrowskiej Katarzynie z synem (2 osoby) z Żurowa.

Ostrowscy ^{w ramach repatriacji} opuścili Łukowiec dość późno, bo dopiero w grudniu 1945 r. W tym czasie już ludność ukraińska przesiedlana z podkarpacia, zajmowała opuszczone na Łukowie domy. W Chodorowie na stacji kolejowej do wagonów towarowych (podobnie jak w poprzednich transportach) załadowano 60 rodzin polskich i zamierzono tym razem, aż na Pomorze Zachodnie do stacji docelowej Nowogard, woj. Szczecińskie. ^{W dniu 15 grudnia 1945 r.} Był to transport Nr 6.

Tu było mniejsze „nasycenie” (zgrupowanie) ludnością polską, więc rodzina Ostrowskich osiedliła się w pobliżu Nowogardu - we wsi Karstk. Zająli gospodarstwo należące polskie, zamieszkując na początku razem tj.

Jan Ostrowski z żoną, córką Karoliną i synami: Tadeuszem i młodszy Karimierem. Wkrótce tj. 1946 r. powrócił z wojny (z wojska) i odnalazł tu rodzinę starszy syn Józef Ostrowski, a później z przymusowych robót dla Niemców - starsza córka Genowefa. Najpierw próbowała wrócić na Łukowiec, nie wiedząc, że tam polaków już nie ma. Ale dojechała tylko

X do Lwowa, bo dalej już nie poszli. Po długich turlach i poszukiwaniu, wreszcie odnalazła rodzinę na Pomorzu. W Karstku zaczęto się robić ciasto. Ale zaczęto zabijając rodzinę i opuszczać gniazdo rodzinne. Genowefa zamieszkała w Nowogardzie, Tadeusz i Karolina wyjechali na Dolny Śląsk do Wotowa, Józef zamieszkał oddzielnie w Karstku, na gospodarce pozostał najmłodszy Karol.

Aktualnie Tadeusz mieszka w Lubieszu a Karolina w Legnicy.

X Po przyjeździe (zasiedleniu się) większość Turokianów rozprzysła się w powiecie Nowogard, a później wielu przeniósł się na Dolny Śląsk i do innych województw. Obecnie nikt nie ma kontaktu z Turokianami z transportu Nr 6 nie pamięta. Byli m.in. Krzyżak Karol i Burdzy Anieli.

X Tadeusz Ostrowski ~~był~~ ^{jest} znanym Turokianem, szczególnie zamieszującym na Śląsku. Utrzymywał z nimi kontakty koleżeńskie, towarzyskie itp. Pełnił wiele funkcji kierowniczych w Wotowie (ziemia), w Pogodzie (ceglarnia), w Lubieszu (weterynaria, betoniarstwo). Mocno odział się społecznie, m.in. w parafii Lubiesz. Przez wiele lat był kościelnym, kierownikiem kserii itp. Aktualnie jest na emeryturze.

Tadeusz należy do jednych z odważnych, który już w początkach lat sześćdziesiątych odwiedził teren ojczysty na wschodzie. Był kilkakrotnie na Łukowie i u kuzynów w Chodorowie, Żurawie i Berestawach, z żoną Leokadią i córką Bogusławą. Odnalazł też „brata” - syna po zamordowaniu krewnego

Anieli Ostrowskiej - Zubockiej. Ma dwie córki - Bogusławę (we Wrocławiu) i Irenę (w Lubieszu) oraz syna Andrzeja (w Wotowie) oraz kilku wnuków i wnuczek. Obecnie jest na emeryturze i reperuje swoje miedziarnie zdrowie. Przekazuje też drogę pozdrowienia wszystkim Turokianom i znajomym.

P.S. Byłoby dobre znaleźć w Zeszytach miejsce na tę informację ze zdjęciem.

-2-

X Transporty z Łukowca.

Znamy dotychczas tylko 3 transporty (a było ich co najmniej 7-ciu) i te 2 k/Lubina i Chocińska.

Transport Nr 6 15 grudnia 1945r. przyjechał do Nowogardu

- Karsk (Ostrowscy), inne: Krzyżak Karol
Bardzy Anielia.

Transport Nr 3 przybył do Wolowa 11 listopada 1945r.

- Stary Dwór (znani), Warty (znani), Jodłownice (znani),
Grodzianów (znani), &

Gliniany (powiaty); Jacki (Stasi, Julian, Kazimierz) z Berestawki,

Gwoździński Maria i Antoni, Kahel i Kotulski - Łukowczanie.

Ekiert i Ziemianiski - z Hrehorowa.

Rogów - Gwoździński Janina.

W miastach: Woków, Breg Dolny, Lubisz,

Transport Nr ... przybył do Śr. Słuckiej dnia
Łukowczanie osiedlili się:

Lipnica: Buroby Jan (sklep miał na Łukowcu na krzyżówce)
Partyska, Żyba, Dul i Bol, Sikara

Jastrzębie: Huczkowie (z Żurawa), Paciorek (potem Śr. Słucka)

Stup: Rędnickie (z Żurawa), Sendyka.

Chomutów: Padryki, Pomadłockie (z Żurawa).

Przecław: Piotr Król (Piotrów), Barany

Szczępanów:

Malaryce: Bieltki, Szmity, - - -

Osiek k/Koszmotów: Władysze, Winiogrodzki, Tęce, Szoty,
Kurawy, Sudoły, Cygan, Strybanek L, Flirtaki, Czech,
Partyska, Huclicki Kłost, Pałki - Edward z którym
miał się skontaktować, Ciber Feliks, Polak Edu. (u 51 r.)

Wichrow:

Mieczków: Leon Kureń, Zybur, Kantor, Buroby Józef,
Stadnicki, Kobylane (Wilhelm s. Walewskiego),
Kureń Kazimierz (s. Leona)

Zabłocie: Jan Macisz

Jankowce: Ożga

Zastrze: Edward i Józefa Klimas

Łezany k/Żurawa: Chyżski, Ożga Kazimierz (mierzopoznany).

Gorzyca k/Lubina: Hucysze (z Hrehorowa),

Bruhów: Andrzej Baran, Majchry, Ożga + znane

✓ { Sklary: Puzo Edward + inni znani
Chociń: Ożga Eugeniusz,

+ Transport k/Lubina + Transport k/Chocińska

Konieczny Ożga

Dnia 8. VIII. 05
Dziękuję

Pani Franciszku!

Wczoraj odwiedziłem Tadeusza Ostrowskiego w Lubieszu. Jest zadowolony z zeszytów tutejskich, że znalazł się ktoś tzn. Pan i tak pięknie odzwierciedla historię niemało zapomnianą. Znalazł kilka zdjęć do ew. wykorzystania w zeszytach, tj.

1. Szkółki na tutejszym i domu Halińskiego z l. 70-tych.
2. Zdjęcia rodzinne do wyboru np. z córki z Lubieszem.

Ja też zdobyłem b. ważne zdjęcia historyczne (do wspomnień) - zamordowanej na wschodzie ciotki Anieli Ostrowskiej - Zabłockiej.

oraz z wesela w rodzinie Dęgów z Brunowa.

Dodatkowo wysyłam zdjęcia rodziców (jedno stare przedwojenne z wojny obronnej) do ew. wykorzystania - bo wreszcie wystawie mogą nie pasować.

Wysyłam też (po uzgodnieniu) zdjęcia tutejszych z Europy, ze względu na historię (tragedię) jaką przeżyli na wschodzie, co opisałem we wspomnieniach. Wzrostłe zdjęcia są opisane na odwrocie.

Myszę, że będzie Pan miał czym uzupełnić "Zeszyty" w razie braku ciekawszych tematów.

Pan Tadeusz Ostrowski bardzo chciałby Pana poznać, ale jest trochę schorowany (po kilku operacjach, m. in. żołądka) i nie wie kiedy będzie w Lubieszu u córki Jani na ul. Orlej.

Wtedy skontaktuje się na miejscu.

Wkrótce myślę Panu wspomnienia p.t. "Zatknięcie się Polaków z Niemcami".
"Przepraszam już na krysto. Inna już chyba zakonleg."

Zatgam też dodatkowe (skromne) informacje uzyskane od P. Tadeusza o transporcie jego rodziny.

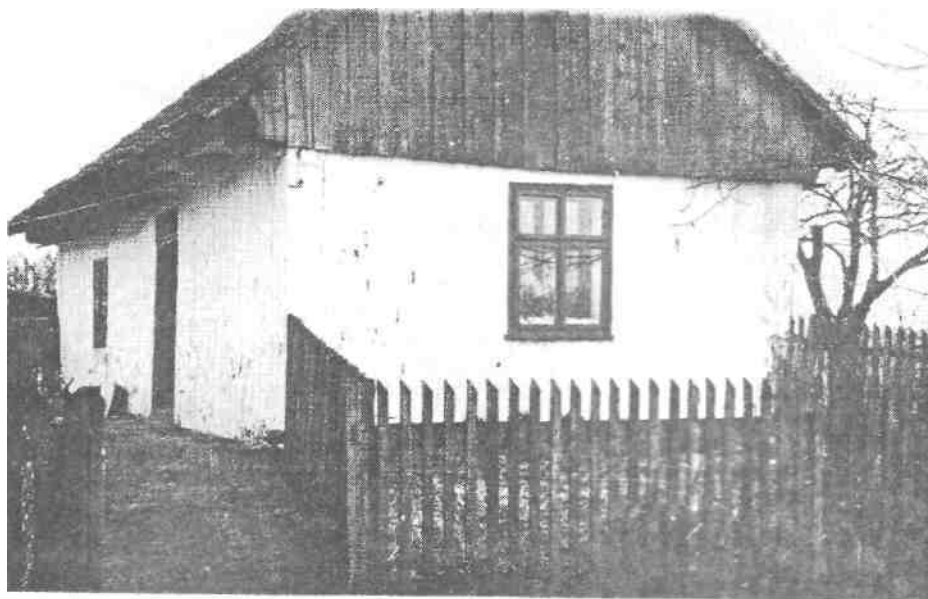
Kamiński
Opa



Ozga Wojciech - żołnierz wojny obronnej
1939 r. Uczestnik Walk pod Dęblinem
Przebywał w Łukowcu 1943 - 1945 r.



Józef Ostrowski syn Jana wraz z siostrą Karoliną
w Karsku k. Nowogardu. Po powrocie z frontu
i odnalezieniu rodziny 1946 r.



Dom Halickiego K. na Łukowcu na ul. Zielone;
(zdjęcie z lat 70-tych XX wieku)



Zdjęcie Ślubne Bronisława Ozgi (Brunów) i Stanisława Urbaniaka.
U góry po lewej stronie Emilia i Edward Puziowie



Tekla Huczek z Żurowa
cudem uniknęła śmierci z rąk
banderowców. Osiedlona
w Jastrzębach k. Środy Śl.



Tadeusz Ozga - zdjęcie
z lat 50-tych



Szkoła Podstawowa na Łukowcu na ul. Holeszowskiej
(zdjęcie z lat 70-tych.) Nauczyciele: Chodnik i Kobierski
Na zdjęciu Leokadia Ostrowska żona Tadeusza



Aniela Ostrowska - Zabłocka z Berestawów
zamordowana w 1944r. przez banderowców wraz
z matką Katarzyną w lasu pod Żurowem zdjęcie
z lat 30-tych.



Tadeusz Ostrowski z żoną Leokaldią
Zdjęcie wykonane w Lubiążu.



Dom poniemiecki Wojciecha Ozgi w Grodzanowie
(na zdjęciu prawnuczki Wojciecha Ozgi)



Kazimierz Ozga syn
Wojciecha (Dzierżoniów)



Łukowanie na uroczystości 1-szo majowej w Wołowie 1954 r.
od lewej Tadeusz Ostrowski, 3-ci Kazimierz Ozga
Na planie Leon Górak - Stary Dwór



Stanisław Huczek syn Tekli
i Michała osiedlony w Jastrzębcach
k. Środy Śląskiej,
aktualnie w Legnickim Polu



Na zachodzie - rodzina Wojciecha Ożgi - Grodzianów



Stefania Ozga
żona Wojciecha



Tadeusz Ostrowski wraz z żoną i córką Ireną oraz Mieczysławem Ciupę w Lubinie na ul. Orlej. zam.



Na oddziale produkcyjnym Diory w Dzierżoniowie
od prawej Kazimierz Ozga - Kierownik Oddziału



Komisja Wyborcza do Sejmu i Rad Narodowych (od
prawej Kazimierz Ozga - sekretarz Komisji - lata 70-te)



Tadeusz Ostrowski z żoną Leokadią dekorowany w Wołowie przez Burmistrza Nojmana - 1998 r.

Allatedt, den 17. Juni 1987

Liebe Familie Ozga!

Herzlichen Dank für den Brief und die Einladung. Uns geht es soweit gut, wir sind auch so einigermaßen ge-sund.

Eine Einladung von der Polizei (PaBstelle) habe ich nicht bekommen. Auch eine Ausreisegenehmigung für uns bekommen wir nicht. Es gibt nur Ein- und Ausreise für Verwandte ersten Grades oder durch das Reisebüro. Da muß man aber hinfahren wo die bestinraen.

Wenn Ihr herfahren diirft, dann kennt Ihr zu uns kommen. Zu Essen braucht Ihr nichts mitzubringen. Wir haben hier genug.

Das Wetter ist bei uns schlecht - iramer Regen und kalt. Im Garten will nichts wachsen.

Herzlichen Dank auch für das Wörterbuch. Ich habe mich sehr darüber gefreut. Ich kaufe mir öfter die "Panorama", Bei uns gibt es die nicht, nur in Halle.

Die herzlichsten Grüße von
uns allen

To pisoiła moja lunka na Marzynie Zebii
lepi możesz wytać. Unser freundliches glückliche
mit Zonen. zapitatem pare razy. ale nie pozwalam.
Ludwin



Zdjęcie rodziny Guske po osiedleniu się w Austedt (byłe NRG) po prawej Ludwig Renz z żoną Marią z domu Guske



Berthold Guske z żoną Martą - zdjęcie przedwojenne Grosen - Grodzianów

Allstedt, 5. Sept. 1988

Liebe Familie Ozga!

Herzlichen Dank fttr die schone Yase und die Kette. Wir haben uns sehr gefreut dariiber.

Wir hoffen, dafi es in Kyritz ein schone und erlebnisreicher Urlaub war. Fttr uns gab es dieses Ja!ir keinen Urlaub. Ludwig¹ s Krank-heit, an der er 12 Jahre lang litt, verschlech terte sich so sehr, daB man ihm in der Klinik nicht mehr helfen konnte.

Es wir fur uns eine schwere Zeit. Wir vermis-sen ihn sehr.

Herzliche Griiii3e von
Mutter, Kornelia

und

Maria

Jak to z lnem bywało!

(przygotowane przez Kazimierza i Zdzisławę Furtak)

Len siało się prawie w każdym gospodarstwie. Były to małe poletka, nawet od 1 do 3-4 arów, w zależności od potrzeb, ilości ludzi do pracy przy obróbce lnu, a przede wszystkim od dostępu do wody (o czym poniżej).

Ziemia musiała być dobrze uprawiona, bez dużych chwastów, perzu czy ostu. Siało się len o ile było to możliwe w Wielką Sobotę. Kiedy miał kilka centymetrów, można go było plewić, deptać po nim, siadać bo gdy był mały podnosił się i to mu nie szkodziło (oczywiście ostrożnie). Podkładało się pod kolana worek lub coś innego i oczyszczało go z chwastów. Gdy zakwitł, robił się niebiesciutki na wszystkich poletkach. Gdy dojrzał wyrywało się go ręcznie wraz z korzonkami i nasionami, rozpościerało na zagonku i sechł. Wyschnięty wiązało się w snopki i wiozło do domu, aby wymłócić. Wiazało się następnie jeszcze raz w porządne snopki i wiozło do wody, stawu lub rzeki. Tam wkładało się go do wody mocno ubijając i przywiązując do pali, aby czasem nie odpłynął. Leżał tak zamoczony kilka tygodni. Następnie wyjmowano go z wody, rozstawiano w snopkach, aby woda odparowała. By szybciej wyschł można go było rozłożyć cienką warstwą na słońcu. Gdy był suchy i był czas (można było tę czynność zostawić na stosowną porę), zabierano się go do międlenia. Służył do tego przyrząd zwany międlnicą. Były to dwa pale wbite w ziemię, na nim deska z fugą i następna podnoszona (ruchoma), którą podnoszono i przyciskano znajdujący się na dolnej części len. Gdy był dobrze wyschnięty łądygi się łuszczyły i przy kilkunastu uderzeniach odlatywały paździerz a w garści zostawały włókna. Potem podobną międlnicą z podwójną deską czyściło się jeszcze raz pierwotnie oczyszczony len, żeby nie było już paździerzy, wytrząpywało się go i wiązało. Po skończonej pracy trzeba było len wycesać i zostawić tylko proste włókna. Robiono kądziel i na prząsownicy przy pomocy wrzeciona przędło się cieniutkie nici. Nawijało się nici na motowidła i powstawały motki gotowe do tkania. Motki tkacz przymocowywał do warsztatu tkackiego, robił osnowę i tkał (przy pomocy nóg i czółenka w rękach). Powstałe płótno wybielano na słońcu. Nazywała się ta czynność zraszaniem, bo trzeba było płótno skrapiać wodą polewać lub zamaczać w wodzie, rozpościerać na trawie lub płocie i suszyć. Jak było suche ponownie moczyć. Czynność powtarzano, aż uznało się, że już jest odpowiednio wybielone (białe). Len zmierzwiony, pourywany, czyli odpady też się przędło, ale nici były grubsze i nie gładkie, lecz z kulkami i z nich tkało się gorsze płótno nadające się na worki, derki, płachty lub farbowane na dywaniki, chodniki, itp. Cesało się len na grzebieniu; do deski małej nabijało się gwoździe i przybijało do dużej deski, pociągało się porcje lnu, aż w garści zostawały długie, czyste pasemka (włosy), a odpady jak już wiemy. Motowidła - trzy kije odpowiednio połączone do nawijania nici z wrzeciona. Bogaci ludzie mieli kołowrotki na których przędło się wygodniej i szybciej. Wyroby z lnu:

1. Płótno na obrusy, ręczniki, ścierki, prześcieradła, koszule, spodnie.
2. worki, derki płachty, chodniki, sznurki, powrozy, pęta dla koni, pakuły.

Ziarno lnu tzw. siemię lniane trafiało do olejarni, w której tłoczono olej lniany, z odpadów powstawał makuch, który stanowił dobrą paszę dla bydła. Były to sprasowane krążki. Paździerz zmieszane z obornikiem, dawały dobry nawóz. W zimowe wieczory zbierało się po kilka osób i przędło, przy tym rozmawiając, śpiewając i spędzając wesoło czas. Prządkom młodym dziewczynom towarzyszyli chłopcy: straszili je, przez okna pokazywali coś dziwnego, puszczały do izby ptaki i inne zwierzęta, strzelali, itp. psoty. Piskom i śmiechom nie było końca. Czas trzeba było jakoś wesoło spędzać, bo telewizja, czy dyskoteka to obecna rozrywka.

Ludzie biedni, którzy chodzili po świecie i zebrali na życie. Na zimę powracali do swoich rodzin. Bardzo często opowiadali o swoich przygodach odwiedzonych miastach i wioskach, jarmarkach, odpustach, dziwnych ludziach i zwyczajach, Stanowili oni swoiste źródło informacji o świecie.

Różne informacje o Łukowcu

Rozmowa z panem Janem

Kryciński

W Zabłocili usłyszałem od pana Jana "Krycińskiego" kilka interesujących informacji o Łukowcu. Przede wszystkim, to że u nich w domu przebywało kilku partyzantów z zewnątrz (Lwów, Stryj). Mieli też wyszkolonego psa - „Norę”. Partyzanci swoje robili a jednocześnie mieszkali. Któregoś dnia wbiegli do domu, powyciągali granaty, pozdejmowali broń i pokładli na podłodze prosząc aby domownicy ukryli to czym prędzej w specjalnej skrytce. Spodziewali się pościgu albo przynajmniej kontroli Niemców. Wyszli z domu do specjalnie wybudowanego pomieszczenia tak zwanej „komory” z której wchodziło się do schronu, mogącego pomieścić około 40 ludzi. Zapomnieli jednak o swoim psie. Gdy domownicy rzucili się do zbierania pozostawionej broni, nagle pies zagroził im drogę. Było to psisko tak przeszkolone, że tylko partyzanci mogli mu wydać rozkazy typu - siad - spokój itp. O jej co wtedy było mówi pan Kryciński - tu strach przed tymi Niemcami tu warczący pies i my próbujemy go jakoś nastawić bardziej przyjaźnie do siebie - bo przecież on nas wszystkich znał - ale broni ruszyć nie pozwolił. Po opowiedzeniu mi tej historyjki przez pana Krycińskiego, jego siostra pani Julia Maciąg podała mi zdjęcie grupy partyzantów z tym partyzanckim psem, „Norą” (publikuje je w Zeszytach str. 56). Na moje pytanie odnośnie pewnego konfliktu pomiędzy rodziną Krycińskich i „Piorunem” Pan Kryciński odparł spokojnie. - No wiesz zadania postawione przed wiejską młodzieżą przez dowódców były nieraz bardzo trudne. Część chłopców nie była przygotowana na wszystko. Nawet przejście takiego Dniestru dla chłopaków, którzy w większości nie umieli pływać - to był już poważny problem. Oni zresztą mieli nieraz po 17-18 lat. Odnótowuję ten

punkt widzenia, gdyż jest on bardzo ludzki i jednocześnie jakoś tam rzutuje na pewne sprawy. Zapytałem też pana Krycińskiego, (gdzie rodzina ta należała do jednych z najbogatszych na Łukowcu) Czy to prawda, że byli oni pochodzenia szlacheckiego. Kilka rodzin na Łukowcu uważało się za wywodzące się z drobnej szlachty. m.inn. także rodzina Jaroszków. - Pan Kryciński odparł - No było w rodzinie jakieś takie przekonanie wynikające z tego, że nasz przodek był dowódca oddziału tatarskiego. Kiedy poprosiłem pana Krycińskiego o podjęcie się zadania spisu mieszkańców Łukowca Wiśniowskiego. Powiedział, że spróbuje, choć uważa, że to przerasta jego możliwości, (posiadam tylko spis mieszkańców Łukowca Żurowskiego). Odnótowuję jeszcze jeden fakt trochę anegdotyczny: Kiedyś, mówił pan Kryciński ojciec zauważył, że coś z tą komorą nie jest tak jak powinno być. Poszedł tam i faktycznie wieko było niedomknięte. Zaglądnął do środka i zobaczył znajomą Żydówkę, która była z Łukowca. Ona o tym schronie nie miała wiedzieć. Gdy ojciec zapytał; jak ty tu wlaźłaś? Usłyszał odpowiedź: - Panie Kryciński ja stąd nie wylezę - Może mnie pan tu tylko zabić! - Więc po chwili ojciec poprawił wieko i tam już w tym schronie ją zostawił.

Zabity Niemiec

Ostatnio będąc we Wrocławiu u krewnego usłyszałem kilka krytycznych słów pod adresem Łukowca i tego co tam się wyrabiało. Szkoda, że mój kuzyn ma tak krytyczne zdanie na temat samoobrony. Choć z rodziną przyjechał na Łukowiec i tam przebywał. Kiedy powiedział, że jeden z partyzantów zabił swoją kuzynkę obecna ze mną osoba stanowczo zaprzeczyła. Ja również zareagowałem, gdy powiedział, że partyzant zabił człowieka siedzącego przy stole. Powiedziałem, że tak było, ale prawda jest trochę inna. Tę historię znam od pana Józefa Kurenia. Zabitym był ukrywający się u jego rodziny dezertier niemiecki. Pan Kureń twierdził, że przez dłuższy okres czasu sprawował on się bardzo dobrze. Wiedział gdzie jest

magazyn z bronią i wiele razy widział uzbrojonych chłopaków z samoobrony i AK. Miał on szansę przeżyć. Gdy jednak zaczęło mu coś odbijać a front niemiecko - rosyjsko się zbliżał. Wpadliśmy w panikę. Wylazł z niego typowy niemiecki nacjonalista. Może szykował się aby jakoś wyjaśnić swoją dezercję. W każdym bądź razie ojciec poszedł do partyzantów i całą sprawę przedstawił mówiąc, że facet jest groźny i nieobliczalny i że zaczyna się go bać. Kazano ojcu iść do domu a partyzanci zastanowią się co z tą sprawą zrobić. Na drugi dzień przyszedł jeden z partyzantów niby coś pożyczyć coś tam z ojcem gadali na podwórku. Gdy wszedł do domu Niemiec siedział odwrócony tyłem przy stole i nawet nie zauważył przybysza, który strzelił mu w tył głowy. Była to typowa egzekucja czy jak to nazwać; likwidacja Niemca. Pan Kureń opowiadając mi tę historię mówił, że rodzina przeżyła szok. Ojciec miał też jakieś wyrzuty sumienia. Nie był pewien czy dobrze zrobił. Wszyscy czuliśmy się fatalnie, bo tego Niemca nawet już polubiliśmy. Ale to była przecież wojna i strach przed dekonspiracją wziął górę. Taka jest cała prawda. Zapytałem pana Kurenia - Jak to jest możliwe - przecież tych Niemców już wcześniej na Łukowcu wybili - odparł - ale znowu ich po pewnym czasie trochę naszło. Edward Sabat mówił, że gdy linia frontu przeniosła się poza Łukowiec Rosjanie znaleźli w jednym z domów na Łukowcu kilku próbujących ukryć się własowców. Zabili ich w okrutny sposób tłukąc kolbami. - Jako zdrajców narodu radzieckiego nie wartych nawet kuli. Jeszcze o ataku na młyn w Łukowcu.

W moich notatkach znalazłem zapis rozmowy ubiegłorocznej z panią Kędzierską z Lubiąża o jej bracie Michale Rypniowskim, który pracował na Łukowcu we młynie i zginął wraz z kilkoma wspomnianymi we wcześniejszych Zeszytach ludźmi w czasie ataku banderowców. Pochodził on z Hrehorowa.

Informacja Pana Józefa Kurenia i Pana Jana Kuchty o uratowanych Żydach na Łukowcu Żurowskim

W jednej z moich rozmów z panem Kureniem powiedziałem mu o kilku priorytetach jakie sobie wyznaczyłem opisując Łukowiec, gdy wyjaśniłem mu, że nie chcę ominąć wątku żydowskiego i że uzyskane informacje przekonują mnie o tym, że tam uratowało się od 20 do 40 Żydów. Przerwał mi i powiedział pisz: A oto co zapisałem - dotyczy to tylko Łukowca Żurowskiego: (przechowywani Żydzi):

- u Julka Szota -2 osoby (1 kobieta i 1 dziecko)
- u Żaka Szczepana - 2 kobiety i 1 mężczyzna
- u Wosia Bronisława - 2 lub 3 osoby)
- u Krawczyczki - 2 starszych i 2 dzieci)
- u Kuchty - 4 osoby
- u Kwietnia - matka i chyba 3 dzieci
- u Zająca w Nidwach - 2 osoby
- u Dudy i Izdebskiego (mieszkali razem) - 2 Żydów - mężczyzn
- u Kozła Aleksandra - 2 osoby
- u Ozgi na Terebeży - 4 osoby

Nie wiadomo czy są tu wymienieni wszyscy ukrywający się na Łukowcu Żurowskim Żydzi. Pewne niedokładności mogą też wynikać z faktu, że np.: w jednym czy dwóch przypadkach mogą być podane te same osoby w dwóch różnych miejscach). W zestawieniu z wykazem pana Libermana daje to jednak jakiś obraz sytuacji przechowywanych na Łukowcu Żydów. Pani Słomiana z Brunowa (z domu Majdańska) poinformowała mnie, że i u nich w domu przez jakiś czas mama przechowywała dwoje żydowskich dzieci, były one chore, miały jakąś chorobę skóry, matka próbowała je leczyć stosując przeróżne środki m.inn. smarowała je wapnem - nic to jednak nie dawało. My byliśmy od nich odizolowani bo mama bała się aby ta choroba nie przeszła na nas. Po jakimś czasie dzieci te zostały zabrane przez osobę z

zewnątrz, która namówiła mamę do udzielenia im pomocy.

Pan Kureń mówi: Nakazy czy rozkazy do sołtysów przychodziły z Rohatyna, aby sprawdzać czy na wsiach nie ma Żydów. Mnie też do tego sprawdzania wyznaczono. Sołtys musiał powołać komisję a ona chodziła i sprawdzała. Mieliśmy zaglądać do stodoły stajni, drewni. Po takim pierwszym sprawdzeniu za trzy miesiące znowu przyszedł nakaz o sprawdzenie (podobno ktoś z Ukraińców zadenuncjował Łukowiec bo widział, że z Żurawna oni do nas szli). W każdym bądź razie znowu Łukowiec sprawdzał czy Żydów nie ma. Przejść po wsi musieliśmy, ludzie podpisywali pojedynczo taki papier że Żydów nie przechowują. I jeszcze jeden papier komisja, że pomieszczenia przeszukano. Na ogół wiedzano gdzie Żydzi są. Te komisje nikogo nie znalazły. Ja np. wiedziałem, że u Kwietnia są dzieci żydowskie - małe. Gdy komisja przyszła do domu - jedno z dzieci się posikało i z powąły pociekl mocz. Kwiecień powiedział - to kot malutki tam wlażł i tak zostało. - Pan Kureń mówi: Być może, że w tych komisjach jeden czy dwaj ludzie byli i tacy, że gdyby znaleźli Żyda - to nie wiem co by było - ale ich nie znaleźli. Żydów nie można było ukrywać wszędzie. Jedynie na obrzeżach wsi, tam gdzie dom był przy lesie albo gdy stały z dala od siebie. Gdy były w kupie - były marne szanse na ukrycie się w przypadku rewizji. Pan Jan Kuchta mówi: - Moja rodzina przed ukrywaniem rodziny Libermanów przechowywała też przez jakiś czas siostrę żony aptekarza Kro z dziewczynką (zdjęcie na str.56). Jednak gdy dostaliśmy cynk, że za dużo ludzi o tym wie to ojciec załatwił im przeniesienie do Kozła Aleksandra. A po pewnym czasie rodzice zdecydowali się na ukrywanie rodziny Libermanów. Z mieszkających przed wojna na Łukowcu Żydów uratowało się tylko trzy osoby; . Dwoje przebywało cały czas na Łukowcu a jedną osobę uratowała rodzina ukraińska prawdopodobnie z Wiśniowa. Tymi urato-

wanymi byli: Edka Kraushar, Żyd Mosiek i jego syn Mundek. Rzeczypospolita Walcząca

Moje informacje na temat tej organizacji nadal uważam za fragmentaryczne. Przekazuję je jednak w przekonaniu uczynienia dalszego kroku w kierunku rozjaśnienia tej sprawy. Tym bardziej, że mój rozmówca pana Edwarda Klimas z Zastruża wyliczył mi tylko część ludzi (głównie Łukowian), którzy należeli po wojnie do tej organizacji. Twierdzi też, że tych organizacji (mających na celu walkę z komuną) było kilka; m. inn. „Orla Białego” „Jutrzenka” itp. Po jej rozpracowaniu zapadły wyroki od 4 lat do kary śmierci. Karano nawet za to, że ktoś wiedział i nie doniósł. Na Komendancie Pawłowskim wykonano wyrok śmierci. Pochowano go we Wrocławiu na cmentarzu osobowickim. Oto nazwiska niektórych ludzi pochodzących głównie z Łukowca i należących do tej organizacji:

- Pawłowski - Komendant mieszkał w Zastrużu (pochodził z Wrocławia)
- Anioł Mieczysław z Osieka - Zastępca komendanta
- Gładysz Wojciech z Osieka
- Tęcza Stanisław z Osieka
- Tęcza Józef z Osieka
- Kazimierz Bzikot z Osieka
- Cuber Piotr z Osieka
- Burdzy Józef z Mieczkowa
- Kilmas Józef z Zastruża
- Pawlik Kazimierz z Krukowa
- Pawlik Tadeusz z Mielęcina
- Pawlik Karol z Osieka
- Wanatowicz Karol z Mieczkowa
- Gdeń Kazimierz z Lipnicy
- Dudek Stanisław z Lipnicy
- Bał Władysław z Lipnicy
- Klimas Edward z Lipnicy
- Cebula Franciszek z Lipnicy
- Sikorski Józef z Lipnicy
- Nieradka Edward z Zastruża pochodził z Piecogór

Prezent od pana Grzegorza Kuświka z Kalisza

Otrzymałem kasotę od pana Kuswika z Kalisza (żona pochodzi z łukowieckiej rodziny Siekierskich). Film rozpoczyna się na rynku w Bukaczowcach pod pomnikiem upamiętniającym czasy wojny (jednak nie jest to miejsce gdzie leżeli Rosjanie, Polacy a także Ukraińcy służący w Istriebitielnych Batalionach - dziś, tam gdzie był pomnik, jest tylko trawa). Następne obrazy to dojazd do Łukowca i rozmowy po drodze z ludźmi życzliwymi pokazującymi właściwy kierunek drogi. Później pan Kuświk odwiedza kościół i cmentarz, znajduje kilka starych grobów. Zatrzymują się przy pomniku księdza Potrzebnickiego. Bierze trochę ziemi z cmentarza łukowieckiego a także wykopuje paprotkę. Odwiedza kościół na Łukowcu i rozmawia z księdzem greckokatolickim. Konkluduje, że na Łukowiec można śmiało przyjeżdżać - ludzie biedni ale życzliwi - przesiedleńcy - pochodzą z Sośnicy koło Jarosławia. - Tak trochę ich sytuacja jest podobna do ludzi z Łukowca - bo też tęsknią za swoją Sośnicą. Pan Kuświk z synem docierają do domu babci gdzie witają ich nowi gospodarze. Pokazują figurkę Matki Boskiej, która jeszcze po Polakach została. Jedna z pań mówi, że jej dziadek był jedynym Polakiem, który z córkami pozostał na Łukowcu i nazywał się Anton Kućma. Wie też że obok ich domu mieszkał Tomek Burdzy, po jego domu została już tylko piwnica i resztki kierata. Ostatnie zdjęcia tego filmu to cmentarz w Mieczkowie - sadzenie paprotki na grobie babci A. Burdzy i rozsypywanie tam łukowieckiej ziemi. Filmik ten zrobiony jest dość zręcznie z komentarzami pana Kuświka i jest naprawdę miłym prezentem. Na marginesie dodam jeszcze, że gdy miasto Kalisz szukało miasta partnerskiego ma Ukrainie pan Grzegorz Kuświk, który jest tam radnym, zorientował się, że preferencji żadnych nie ma zaproponował więc żeby był to Stanisławów (Iwano-Frankowsk) miasto z okolic którego po-

chodzi jego żona.- Na co radni Kalisza zgodzili się bez najmniejszego oporu. I tak to Kalisz został partnerskim miastem Stanisławowa dzięki łukowiance. W Istriebitielnych Batalionach oprócz Rosjan Polaków i Żydów służyli też Ukraińcy m.inn. Ukrainiec Kikiena z Bukaczowiec i Ukrainiec Kujbida z Wiśniowa (informacja od pana Jana Kuchty).

Listy od pana Stanisława Kaflowskiego z Trzcianki

Otrzymałem dwa listy od pana Stanisława Kaflowskiego. Są one za krótkie aby je przedstawiać. Pan Kaflowski mieszkał na Korczunku. W jednym z listów pisze o zamordowaniu mieszkającego tam Józefa Burdzego. Przed wojną pan Burdzy był w „strzelcach”. A w czasie wojny był chyba łącznikiem pomiędzy AK na Korczunku i w Sokołowie - nazywano go „komendantem”. W drugim liście pan Kaflowski zaprasza mnie W pilskie, oraz informuje, że chętnie podzieliłby się ze mną informacjami, które posiada. Dodaje, że urodził się w miasteczku Sokołów. W dawnych czasach odparło ono atak Tatarów przy pomocy gorącej jaglanej kaszy przyskajac nią w twarze napastników (Lwów w tym czasie okupił się Tatarom).

List z Dusseldorfu od pana Henryka Libermana

Mój kontakt z panem Henrykiem Libermanem ma doraźny charakter. Jednak nie unika on opinii na tematy stosunków polsko - żydowskich. Gdy w telefonicznej rozmowie ze mną poprosiłem go, aby przysłał mi materiały na temat uratowanych na Łukowcu Żydów Wyraził zgodę. Otrzymałem list, który w całości publikuję na łamach niniejszej gazety. Jednocześnie proszę te osoby, które coś wiedzą o innych jeszcze Żydach przechowywujących się na Łukowcu aby poinformowały mnie o tym.

Praca tradycje i zwyczaje łukowieckie

Jestem zachwycony tym opisem pracy przy lnie. Dobrze by było, żeby ktoś jeszcze włączył się do tych tematów, opisał choćby

pracę przy żarnach czy pieczenie chleba, lub pracę przy żniwach. Kiedyś słyszałem od mojej babci, że poszła z moim tatą w pole i od rana do wieczora zerznęli sierpami morgę pszenicy. Byłem tym zdumiony. Ostatnio pan Kureń gdy mu o tym powiedziałem uświadomił mnie, że przed wojną zboża się nie kosiło kosą tylko cięło sierpem. Gdy zapytałem - po co sierpem ? - Wyjaśnił, że po to by go nie poniszczyć i że słoma prosta była wykorzystywana na np. pokrycia dachów oraz że prawie wszyscy przed wojną tak zboże cieli.

Swaty i morgi

Tę historię usłyszałem od Wojtka Janusza. Kiedy jego brat miał się żenić rodzice dawali 10 mórg a rodzice panny młodej 5 mórg. Ustalenie to jednak im bliżej ślubu było coraz to bardziej wątpliwe. W końcu stanęło, że panna młoda dostanie 2,5 morgi. W mojej rodzinie podniosły się głosy niezadowolenia. Tym bardziej, że młody miał jeszcze iść do wojska. Próbowano więc zerwać negocjacje ślubne. Panna młoda czuła się najbardziej upokorzona i najwięcej rozpaczała. Nawet twój dziadek, mówi pan Janusz, (Antoni Faszyńkieder) zabrał w tej sprawie głos i radził mojemu bratu aby zaręczył się i szedł spokojnie do wojska a dziewczyna na pewno na niego poczeka. Matka moja jednak przecięła całą tę awanturę zawołała młodą i postawiła sprawę jasno stwierdzając: „Dobrze niech już będzie te 2,5 morgi - weźmiemy cię i z tym”. Potem synowa bardzo dobrze się sprawowała. Gdy matka umierała, miała 2 morgi dożywocia, zawołała wszystkie dzieci i synową i przykazała, że te jej dwie morgi to mają być dane synowej, bo była dla niej najlepsza i wspierała ją w starości. **Baciary i złodzieje.** Tę historijkę opowiedział mi pan Kaliciak Leszek urodzony w 1945 r. we wsi Roda-tycze województwo lwowskie. „Złodziejstwo było, zebractwo i bieda. Gdy wuj pojechał do Lwowa na zakupy jakiś baciary czy złodziej opłuł go niby niechący -przepraszał, chusteczką wycierał mu marynarkę a drugą rękę wpychał do kieszeni.

Wuj się zorientował, obyło się bez kradzieży, ale nie mógł wyjść z podziwu nad bezczelnością tego złodzieja. Kradzieże zdarzały się wszędzie. Na ich wsi też. Jedną taką akcję opowiedział mi ze szczegółami (a jednocześnie potwierdził przedstawionymi zapiskami dotyczącymi tej wsi). Dziedziczka Ostrowska pozwoliła jednemu z mieszkańców Rodatycz oczyścić w dworskiej stodole nasiona koniczyzny na specjalnie do tego przystosowanym urządzeniu. Dwaj bracia czyścili je samotnie a gdy do stodoły weszło duże stado kaczek i w pobliżu nie było nikogo ze służby folwarcznej. Jeden z braci zabił trzy kaczki i ukrył je na dnie worka z nasionami. W trakcie dalszego czyszczenia koniczyzny do stodoły wszedł administrator majątku pan Szczekota rozmawiał o urządzeniu z jednym z braci i w pewnym momencie podszedł do worka nabrał nasiona i oglądał je dokładnie. Na szczęście nie przyszła mu ochota głębokiego sięgnięcia po nasiona bo trafiłyby na kaczki. Tak, że sprawa ta skończyła się dla złodzieja szczęśliwie. Był w tej wsi młyn parowo-wodny a obok niego kąpielisko. Właściciel młyna miał duże stado kur, które niosły się także poza obejściem te jajka chłopcy często zbierali i zanosili do Żyda, który dawał im za nie cukierki. Często młyn ten był okradany, pomimo tego, że znajdował się w pobliżu posterunku policji. Złodzieje orientowali się kiedy do młyna przywożone jest zboże. W nocy podjeżdżali wozem wyważali drzwi i kradli worki. Dla zmylenia ewentualnego pościgu sypali cienką stróżkę zboża na drogę wiodącą do pobliskiej ukraińskiej wioski Bortatyn - mającej w okolicy bardzo kiepską opinię. Raz po takiej kradzieży do złodzieja rano zapukała policja. Złodziej myślał, że to już koniec. Tymczasem pracownik młyna zaczął go prosić w imieniu właściciela, aby z policją pojechał wozem do ukraińskiej wioski, bo tam prowadzą ślady. Złodziej chętnie przystał na pomoc. Pomimo rewizji w wielu domach w tej ukraińskiej wiosce zboża nie odnaleziono. A policja i tak była przeko-

nana, że to ktoś z Bortatyna zboże ukradł i dobrze je schował.

Gdy po wojnie zapytano złodzieja dlaczego tak kradł? Odpowiedział: - Z biedy!

- Co myśmy tej ziemi mieli trzy morgi. On zainwestował w siebie. Chodził zawsze porządnie ubrany. Miał kontakty z policją.

- Nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu kleiło się cudze mienie do rąk.

Krasna Góra

W materiałach mojego ojca znalazłem zapis dotyczący śmierci sześciu partyzantów w Krasnej Górze. Jeżeli ktoś wie co tam się stało to bardzo proszę o informacje. Czy byli to partyzanci z Łukowca. Kiedy i w jakich okolicznościach zginęli.

Partyzanckie pseudonimy Ojciec mówił mi, że wszyscy partyzanci - żołnierze AK mieli pseudonimy. A

nawet i członkowie samoobrony. Taki był ogólny wymóg konspiracji - Jednak w warunkach Łukowca, gdzie wszyscy się znali te pseudonimy nie były używane nagminnie. Chłopcy mówili sobie zwyczajnie po imieniu. Tylko partyzanci z zewnątrz ściśle przestrzegali zasady używania pseudonimów i nikt ich po nazwiskach nie znał. Dopiero po wojnie, łukowianie dowiadawali się, że ten to był ze Lwowa a ten ze Stryja, że ten nazywał się tak a tamten tak.

Partyzant Wasilewski ze Lwowa

Pan Tadeusz Piechuta poinformował mnie, że u nich mieszkał partyzant ze Lwowa i pod koniec wojny wszelki ślad po nim zaginął. On uważa, że mógł zginąć w górach w zasadzce jaką Rosjanie urządzili na partyzantów z Łukowca (o tym już pisałem) Pan Tadeusz pamięta, że nazywał on się Wasilewski i pochodził ze Lwowa.

Czubek góry lodowej Im więcej wiem o Łukowcu tym bardziej przekonuje się, że poznaję tylko czubek góry. Reszta jest pod wodą. Wydaje mi się, że szans na ukazanie wszystkiego co działo się na Łukowcu nie mam. Ale nawet to „trochę” to też jest już „coś”.

Błędy, które należy sprostować Tych kilka błędów, które zrobiłem chcę wyjaśnić: Najbardziej dla mnie przykra pomyłka to zamieszczone w Zeszyście Nr 1 zdjęcia z podpisem, że jest to Andrzej -chłopiec, który na Łukowcu zginął (omyłkowo). Tymczasem dowiedziałem się, że jest to fotografia pana Zbyszka Kruka. Rodzina Kruków pochodziła z Wołynia i schroniła się na Łukowcu. Przykre, bo kilka osób potwierdziło mi, że to właśnie Andrzej. Gdy zapytałem w końcu Pana Sabata jak do tego mogło dojść, że tyle osób się pomyliło - odparł, że naprawdę ten chłopak bardzo jest do Andrzeja podobny. Druga sprawa; w Zeszyście nr 1 opisując Wały Śląskie napisałem o zamieszkującej tam rodzinie Krukowskich tymczasem rodzina ta nosi nazwisko Kruk. Trzecia sprawa: Legendarny koń na którym jeździł Piorun należał do Józefa Furtaka, Pana Józefa na Łukowcu nie było a koniem opiekował się jego brat Szczepan Furtak i on go Piorunowi użyczał. Ostatnio słyszałem też, że sanitariuszki łukowieckie miały placówkę u państwa Wojnasów i państwa Drapałów i że o rodzinie Drapałów należy też w kontekście ich wkładu w samoobronę. ~~W zeszyście nr. placówki zorganizowanej przez sanitariuszki wspomnieć.~~

Jeszcze o materiałach otrzymanych od czytelników

Wszystkie materiały otrzymane od czytelników zwróć do końca 2006 roku. Mam tu na myśli zdjęcia otrzymane od pana Baka, pana Kilmasa, pani Dębickiej, pani Dziedzic, Pani Burdzy z Jakubowa, pana Ożgi, pani Miśkiewicz z Chicago, Pojedyncze zdjęcia należą się też Turbakom, Szulcom, Piechutom, Słomianym, panu Mokrzyckiemu. Niektóre materiały otrzymywane to ksera w bardzo kiepskim stanie. Często muszę rezygnować z ich publikowania bo ich jakość jest beznadziejna. Także fotografie kolorowe wychodzą fatalnie. Bardzo często też otrzymuje zdjęcia do rozszyfrowania ze stwierdzeniem; „z Łukowca - ale kto to jest - nie wiem”.

ZDJĘCIA NIEZWYKŁE Z ŁUKOWCA



Zdjęcie to otrzymałem od pani Józefy Maciąg a następnie z częściowym opisem także od pana Józefa Mokrzyckiego.

Są to partyzanci z zewnątrz: Pan Mokrzycki pisze: „Na przedzie siedzą Kazimierz pseudonim „Sosna,, z suczką o imieniu „Nora" drugi obok to „Karol" pseudonimu nie pamiętam. Stoją od lewej Andrzej pseudonim „Defm" trzech kolejnych nie znam a ostatni to Ludwik, pseudonim „Niunio"

(z tych trzech nieznanych dowiedział się już po wyjściu z wojska że w środku jest Józef Buczkowski chłopiec spod Kochawiny - osiedlił się w Starym Węglińcu powiat Zgorzelec.



Rodzina Juliana Szotta - zdjęcie to otrzymałem od Pana Tadeusza Piechuty (Lubin)

W środku na krześle żydowska dziewczynka córka siostry żony aptekarza Kro z Żurawna - stojąca za tą dziewczynką blondynka to pani Wiśniewska (zam. w Lubinie) potwierdziła mi prawdziwość tej fotografii.

ŻOŁNIERZE SAMOOBRONY I ARMII KRAJOWEJ



Władysław Stadnik



Andrzej Piechuta



Wojciech Ozga



Józef Mokrzycki



Edward Sabat



Władysław Furtak



Władysław Bak



Julian Szott



Edward Klimas

ZDJĘCIA Z ALBUMU RODZINY BAKÓW Z BRUNOWA



Łukowiec - Jan Bak z II klasą - rok 1938



Edward Sutyła



Edward Jarosz oraz
Anielka i Władysława Kuchtowny



Łukowianie - Józef Tęcza,
Lasota Stanisław, Skrybant Michał

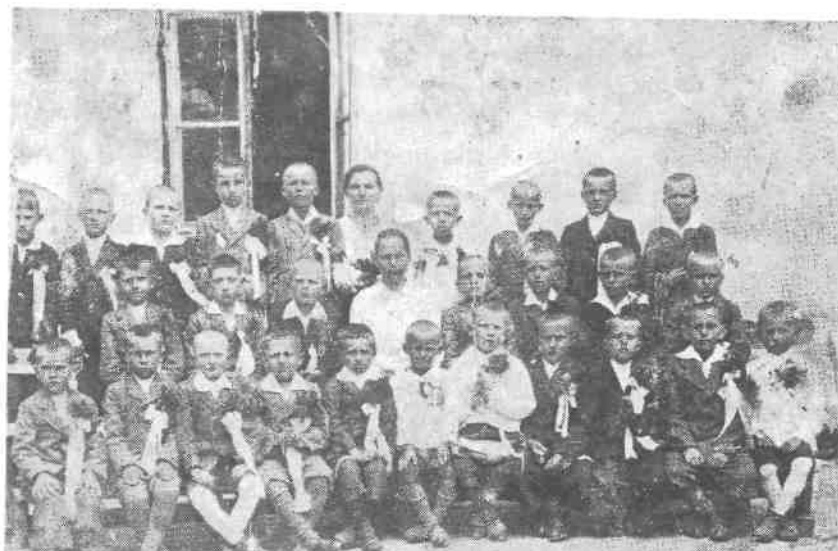


Stanisław Hodor z żoną Zofią
i Siostrą Franią

ZDJĘCIA Z ALBUMU RODZINY KLIMASÓW Z ZASTRUŻA



Bal Władysław, Edward Klimas,
Kazimierz Bal, Waław Zięba
- zdjęcie z wesela
Stanisława Babuli



I Komunia Święta - rocznik 1929 (zdjęcie z albumu Edwarda Klimasa)



Kazimierz Burdzy syn Jakuba - zginął
z rąk żołnierzy radzieckich w 1944 r.



Józef Cuber, Czesław Dul, Anna Bzikot, Anna Bal



od lewej: Aniela Kuchta, Władysław Bal, Józefa i
Stanisław Babule, dalej Aniela Bal i Edward Klimas

Słowo o książce Wiktora Poliszczuka „Gorzka Prawda”

Autorem tej książki jest Ukrainiec pochodzący z Wołynia. Jego ojciec był wójtem gminy Dubno do 1935 roku. Matka pochodziła z polskiej rodziny Witkowskich. Przeszła jednak na prawosławie i rodzina zawsze uważała się za ukraińską. Po wkroczeniu Rosjan ojca autora uwięziono i wszelki ślad, jak pisze on, po nim zaginął (Rosjanie zamordowali go najprawdopodobniej w momencie wycofywania się ich wojsk pod naporem Niemców w 1941 r.). Pozostałą część rodziny wywieziono do Kazachstanu wraz z Polakami, Białorusinami, Ukraińcami i Żydami. Gdy znalazł się w 200 osobowym pomieszczeniu z zesłańcami Polaków było najwięcej. Mówiono jednak we wszystkich czterech językach. Po wojnie, gdy Polaków przesiedlano, rodzina autora poprosiła o wpisanie jej na „polską listę”. I choć wszyscy Polacy wiedzieli, że jesteście Ukraińcami. Wyjechaliśmy z nimi na Ukrainę Wschodnią a później do Polski. Rodzina zamieszkała w Legnicy. Pan Wiktor Poliszczuk ukończył studia prawnicze zrobił doktorat i został wziętym adwokatem w Jaworze. W 1981 roku wyjechał do Kanady. Zawsze bolał nad stosunkami polsko-ukraińskie, Jako chrześcijanin i człowiek poszukujący prawdy postanowił napisać książkę. Piszac opierał się na materiałach, dokumentach i rozmowach z ludźmi z kręgów ukraińskich nacjonalistów, głównie w Kanadzie.

Wiktor Poliszczuk nie doszukuje się przyczyn mordów w panującej przed wojną sytuacji społecznej na Kresach. Widzi je raczej w ideologii ukraińskich nacjonalistów. Po I wojnie światowej Ukraińcom nie udało się stworzyć swojego państwa. Ośrodek kijowski rozbili Rosjanie, a ośrodek galicyjski Polacy. Pomimo porozumienia Piłsudskiego z Petlurą, Ukraina „nie wybiła się na niepodległość”. Powstała w 1920 roku w Pradze UWO (Ukraińska Organizacja Wojskowa) miała

za zadanie prowadzenie dalszej walki o wyzwolenie Ukrainy metodami terrorystycznymi i sabotażowymi. Ideologiczną podbudowę nacjonalizmu ukraińskiego stanowiło dzieło Dmytra Doncowa „Nacjonalizm”. Książka ta zawiera elementy filozofii Nitschego a także średniowiecznego traktatu włoskiego doktrynera Makiawelego, który w swym dziele „El Principi”, opiewa w polityce siłę, podstęp, fałsz i nie liczenie się z drugim człowiekiem. Czynienie zła jest usprawiedliwione dla osiągnięcia celu, tym celem dla Ukraińców jest państwo pojmowane jako najwyższe dobro. W 1929 r. UWO połączyło się z dalszymi nacjonalistycznymi organizacjami ukraińskimi tworząc organizację OUN - UWO (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów) Szefem zespolonej organizacji zostaje Jewhen Konowalec. Ta organizacja uzurpuje sobie reprezentację całego narodu ukraińskiego. UWO i OUN razem występowały pod nazwą OUN. Wodzem był Konowalec jako przywódca całego ukraińskiego narodu. Metoda walki o niepodległą Ukrainę to terror ciągły. Stąd akcje sabotażowe już w 1922 roku -2300 podpaleń folwarków, stert zbożowych zabudowań, polskich dziedziców. W październiku tego roku trzy grupy ukraińskich sabotażystów każda po 50 ludzi dokonały rajdów paląc folwarki i gospodarstwa polskich dziedziców i kolonistów zabijając policjantów i żandarmów. Pierwsza grupa przeszła przez powiaty; Zborów, Brzeżany, Podhajce, Buczacz, Przemyślany, Bo-rszczów i Czortków. Druga grupa z sokalskiego przeszła do województwa tarnopolskiego a trzecia działała w okolicach Brodów i Zbaraża. Pierwszym zamachem zorganizowanym przez UWO była nieudana próba zabicia marszałka J. Piłsudskiego 25.11. 1921 r. Na koncie UWO jest m.inn. zabójstwo dziedzica Bohatkowic Józefa Wojciechowskiego 29.11.1930, r., hrabiego Bawarowskiego 28.01.1931 r., posła Tadeusza Hołówki 29. 08.1931 r. , Iwana Babija - dyrektora ukraińskiego gimnazjum we Lwowie, ministra Bronisława Pierackiego 15.06.1934 r. itd. itp.

Zabijano wójtów Ukraińców. Napadano na ambulanse pocztowe, na listonoszy, policjantów i urzędników.. W 1940 r. OUN - UWO podzieliła się na trzy zwalczające się frakcje mielnikowców, banderowców i bulbowców. Przy czym banderowcy z wzięli górę i podporządkowali sobie pozostałe frakcje w terenie. UPA (Ukraińska Powstańcza Armia) to zbrojne ramię OUN dowodzone przez Stepana Bandere.

W pracy tej jest wiele wątków. Omówiona jest rola ukraińskich nacjonalistów w planach Hitlera. Autor trafnie stwierdza, że byli oni tylko nie liczącym się narzędziem w rękach Gestapo i SS. O żadnym państwie ukraińskim Niemcy nie chcieli słyszeć. Pomimo, że autor w wielu momentach podkreśla, iż za zbrodnie na Polakach i Żydach nie odpowiada cały naród ukraiński i jest to jedna z jego myśli przewodnich, trzeba stwierdzić, że w Polsce tam gdzie żyli Ukraińcy, prawie wszędzie sytuacja była tragiczna. Jasne jest, że żytomierszczyzna, kijowszczyzna, Zaporozie czy w Odessie i na t.z. Ukrainie radzieckiej oraz Zakarpaciu nie było mordów. Jednak w województwach: wołyńskim, tarnopolskim lwowskim i stanisławowskim skala zbrodni równała się ludobójstwu, co przyznaje sam autor. Przedstawia on liczne zbrodnie na ludności polskiej, żydowskiej, ukraińskiej. Nazywa je, jeszcze raz to podkreślam, „ludobójstwem”. Wśród dziesiątków przykładów, mówi też o rozerwanej ukraińskiej dziewczynie, przywiązanej do dwóch przygitych brzoź za to tylko, że rozmawiała z czerwonoarmistą. Nawet nie zadali sobie trudu aby zapytać czy ten rosyjski żołnierz nie był Ukraińcem. Gdy brat ojca autora publicznie powiedział, że tak (za pomocą mordów) Ukrainy się nie zbuduje na drugi dzień zabito go z pistoletu strzałem w usta. Polkę mieszkającą na ukraińskiej wsi, nie znającej nawet języka polskiego zabito - bo przyznawała się do pochodzenia polskiego. Píše i o mordowaniu żon Polek przez mężów Ukraińców. O mordowaniu matek przez synów z rodzin mieszanych.

Popalaniu ludzi w kościołach. O wymyślnych torturach. Nikogo nie oszczędzali. Nienawiść ślepa nieludzka i zaprzaństwo człowieczeństwa i chrześcijaństwa. Jest i poruszony problem księży grecko-katolickich i popów prawosławnych w znacznej części popierających banderowców. I te dziesiątki przykładów zbrodni na sąsiadach Polakach dzikich, popełnianych za pomocą noży, wideł siekier, zdradzieckich kul i ognia. Wiktor Poliszczuk wylicza na podstawie zeznań, częściowo dokumentów ilości pomordowanych Polaków. Są liczby szacunkowe pomordowanych w powiatach wołyńskich idące w dziesiątki tysięcy. Przykłady zbrodni są porażające - autor cytuje je całymi stronami i mówi że to tylko mała cząsteczka: - FB z Kanady: na nasze podwórko przyszli banderowcy , chwycili mego ojca i siekierą odrąbali mu głowę. Nasza siostrę przebili kołkiem. Widząc to matka zmarła dostając ataku serca.

- JB z Wielkiej Brytanii: Moja bratowa była Ukrainką i za to, że ona wyszła za mąż za Polaka , ją 18 banderowców zgwałciło. Z tego szoku ona już nigdy nie wyleczyła się, brat do niej nie miał żalu ani pretensji , jednakże ona sama utopiła się w Dniestrze.
- W.C z Kanady: We wsi Buszkowice osiem polskich rodzin wpędzili do stodoły tam ich wszystkich pozabijali siekierami i podpalili stodołę. J.C. z Polski: W marcu 1944 r. Na naszą wieś Huta Szklana gmina Łopatyn napadli banderowcy, wśród nich był jeden o nazwisku Diduch ze wsi Ohładów. Zabili pięć osób , strzelali, dobijali rannych. Józefa Chorosteckiego siostrę siekierą przeraćbali na pół. Zgwałcili małoletnią.
- T.P. z Polski: Wieś Ośmigowicze, 11.VII. 1943 r. Podczas nabożeństwa napadli banderowcy, pozabijali wiernych, a za tydzień po tym wydarzeniu napadli na naszą wieś. Małe dzieci powrzućali do studni, dorosłych i starsze dzieci zamknęli w

piwnicy i zawalili ją. Jeden banderowiec trzymał niemowlę za nóżki, uderzył jego głową o ścianę, matka tego niemowlęcia krzyknęła to ją przebili bagnetem. C.B. ze Stanów Zjednoczonych: W Podlasiu, tak wieś nazywała się banderowcy zamordowali czworo z rodziny młynarza Pietruszewskiego przy czym 17 letnia Adolfinę ciągnęli po kamiennej drodze aż skonała.

- E.B. z Polski: Po zabójstwie Kozubskich w Białozorce koło Krzemieńca, banderowcy poszli na chutor do Puzichowskich. Siedemnastoletnia Regina wyskoczyła przez okno, bandyci strzelali do synowej, zabijając jednocześnie trzyletniego syna, którego ona trzymała na rękach. Potem podpalili dom i poszli.
- A.L. Z Polski: 30.VIII. 1943 r. UPA napadła na takie oto wsie i zamordowała w nich.
 1. Kuty - 138 osób w tym 63 dzieci
 2. Jankowice 79 osób w tym 18 dzieci
 3. Ostrówki 439 osób w tym 141 dzieci
 4. Wola Ostrowiecka 529 osób w tym 220 dzieci
 5. Kolonia Czmykow 240 osób w tym 50 dzieci

Autor pisze, że w książce Józefa Turowskiego i Władysława Siemaszki „Zbrodnie nacjonalistów ukraińskich dokonane na ludności Polskiej na Wołyniu 1939-1945, którą cechuje obiektywizm jest opisana na 166 stronach drobnego druku męczeńska śmierć tysięcy Polaków. Tej książki, uważa autor, nie powinni czytać ludzie o słabych nerwach. Podaje on wiele przykładów mordów zamieszczonych w tej pracy i wiele innych na które są dowody. Mówi też, że to tylko część przykładów z Wołynia (województwa wołyńskiego) a gdzie jeszcze Galicja (lwowskie, stanisławowskie, tarnopolskie). Polscy partyzanci zauważa autor składali przysięgę na krucyfiks czasem na Biblię, banderowcy na pistolet.

Policzczuk podaje liczbę 300 - 400 tysięcy zamordowanych Polaków przez UPA. Wśród omawianych przez autora tematów mamy i akt proklamowania niepodległości Ukrainy przez UPA 30 czerwca 1941 r. oraz niemiecką odmowę jego zatwierdzenia. Autor mówi także o 10 przykazaniach ukraińskich nacjonalistów, ukazując ich nieludzki charakter. Słowem książka ta warta jest przeczytania. Choć, ja ze wszystkimi twierdzeniami autora tak na sto procent bym się nie zgodził, jednak uważam tę pracę za bardzo interesującą - wprost można się z niej wielu rzeczy nauczyć. Trochę na siłę autor próbuje udowodniać, że to nie Ukraińcy mordowali tylko banderowcy. Zaskoczył mnie też rozdział dotyczący Łemków. O żadnej zbrodni ze strony Polaków mowy nie powinno być. Na pewno tej grupie etnicznej stała się krzywda, nawet można i powiedzieć, że wielka krzywda, ale to było przesiedlenie a nie mordy czy eksterminacja. Kto chciał jechał na Ukrainę, kto chciał zostawał w Polsce. No jechali Łemkowie na Zachód 8 dni. Ale Polacy z lwowskiego czy stanisławowskiego jechali 20 dni, czasem 30. Stosunek Polaków do Łemków był niechętny. Ale zaopatrywani byli w żywność - ba nawet w odżywkę dla dzieci. To prawda, że mogły się zdarzyć przy tym wysiedlaniu jakieś ekscesy. Prawda, że transporty zatrzymywały się w Jaworznie koło Krakowa i podejrzewani o sprzyjanie UPA byli tam przesłuchiwanymi i bici a jakaś część podejrzanych tam była umieszczana i katowana, ale to też nie miało na celu unicestwienia narodu. Nie było zamiarem Polaków aby ich dziesiątkować głodząc w pociągach czy, żeby połowa - czy nawet jakaś część tych ludzi nie dojechała. Przesiedlenie miało na celu rozproszenie Łemków, gdyż w przekonaniu ówczesnych władz sprzyjali oni UPA.

Warto książkę Wiktora Poliszczuka przeczytać a nawet dobrze wiedzieć że taka pozycja jest. Bo jest ona z pewnością jakimś krokiem na drodze normalizacji stosunków pomiędzy Polakami a Ukraińcami.

Autor: Konrad Leśniewskiego

Relacja z bitwy w lasach przysuskich

26 września 1944 roku po bardzo zimnej nocy poranek wstał mglisty, nieco szronem posrebrzony. Stefanów-Budy, alarm!, Szwabyl, gdzieś od Brzezinek od Gielniowa niosą się echa strzałów - serie, coraz gęściejsze z broni maszynowej, w które raz po raz wplatają się wybuchy - to granatniki, ale oto i działa. Wre bój, którego przecież spodziewaliśmy się już od jakiegoś czasu. W ogniu są zapewne nasze czaty (wystawione przez kompanie 25 pp AK) na wywozie i w Brzezinkach, a także i ubezpieczenia 72 pp AK na łągach, Gałek i Mechlina. Zatem Niemcy atakują szerokim frontem, więc będzie to robota dla całego Zgrupowania lasów przysuskich. P.por. Bohun (Bolesław Turkiewicz) dosiadając „Berbera” z którego już jakiś czas temu „zsiadł” sierżant Burza (Stanisław Karliński), rzucił mi rozkaz: „Orlik za mną!”. Byłem gotowy, więc jakoś nadażalem za nim, gdy ruszył lekkim kłusem. Na szczęście dla mnie do sztabu pułku nie było daleko. Na placu apelowym trwała odprawa. Major Leśniak (Jan Rudolf Majewski) wydał por. Wichrowi (Witold Kucharski) rozkaz, a ten natychmiast odmeldował się aby go wykonać. W powstałą w wianku oficerów lukę wpasował się ppor. Bohun meldując majorowi swoje przybycie. Trzymałem się z boku ściskając w garści wodze „Berbera”. Major łypnął na mnie okiem (widocznie Bohun w tym swoim meldowaniu wymienił moją skromną osobę) bo mruknął: „niech się zamelduje u służbowego”, dosłyszałem, więc uwiązałem wodze „Berbera” do sztachety ogrodzenia a sam kopnąłem się na poszukiwanie oficera służbowego. Nie znalazłem go (zapewne znajdował się w gromadzie oficerów odbierających rozkazy dowódcy). Zobaczyłem jednak plut. Asa (Marian Jaworski). Ucieszyłem się, przecież on pełni dziś funkcję podoficera służbowego pułku. Opuszczał zagrodę kwatery dowództwa pułku, tuż za plutonem p.por. Sokoła, który miał stanowić pierwszą osłonę i który por. Wicher osobiście wyprowadzał w stanowiska. Dobiegłem do Mariana (As, chociaż dosyć sztywny na co dzień, darzył mnie przyjaźnią więc w konsekwencji zpoufaliłem się z nim). No dobra, dobra - trzymaj się mnie - odrzekł - na moje, „z rozkazu majora melduję się do dyspozycji” - tu pewnie zaraz coś będzie się dziać. A już się działo, gdzieś na północnym wschodzie za Budami niosła się gęsta strzelanina, broń maszynowa ale i huki granatników, jak również podwójne eksplozje działek (dach, dach, dach.... dach, dach, dach). Por. Wicher minął nas wracając zapewne do sztabu na ciąg dalszy odprawy. Widzieliśmy jak p.por. Sokół osobiście sprawdzał stanowiska swoich chłopców, wskazywał dozory i korygował stanowiska KM-ów. Oto chwycił Bystrego (Zdzisław Kiełbasiński) za ramię, pociągnął za sobą a ten chwyciwszy brena szturchnął swego amunicyjnego i ulokował się w miejscu wskazanym przez Sokoła w widłach potężnej skarpy ściętych olszyn. W samą porę p.por. Sokół przez lornetkę musiał wypatrzeć coś na lizjerze odległego o 300 m lasu, bo machnął ręką i wrzasnął tak, że i my usłyszeliśmy - ognia!!!. Pluton otworzył ogień. Dwa breny i LMG plutonu krótkimi, zjadliwymi seriami kryły wylot drogi prowadzącej z lasu. Kaemom towarzyszyły pospieszne pojedyncze wystrzały czterdziestu kbków, co znaczyło, że chłopcy widzą wrogów. Sokół klęcząc koło Bystrego wskazał mu jakiś cel. Już i my zobaczyliśmy. Co prawda staliśmy 50m za linią plutonu, ale As wypatrzył przez lornetkę niemiecki MG, a także i drugi na podstawie. Podał mi lornetkę (jeszcze nie miałem swojej), żebym sobie popatrzył - o tam przy krzyżu! - Niemcy odpowiedzieli, długie serie z kilku kaemów. No tak oni nie żałowali amunicji. Koło nas kule gęsto świstały. Z drewnianego poszycia stodoły sypały się drzazgi. Ogień plutonu musiał być jednak bardziej skuteczny, bo po paru chwilach obaj z Asem zauważyliśmy, że jeden, a zaraz potem drugi niemiecki kaem - zamilkły. Znów się odezwały, ale z nieco innych kierunków. Widocznie w trakcie walki wchodziły do akcji nowe oddziały niemieckie, bo MG grało coraz więcej. Wycofaliśmy się obaj z Asem na podwórze, bo przecież obaj byliśmy na służbie. Odprawa już się chyba

kończyła - oficerowie kolejno odchodzili z wianka. Kpt Morus (Hilary Marczewski) skinął na Asa. Podszedłem z nim - Morus podał mi wodze swego gniadosza. A do Asa: - Znajdźcie Grypsa - Marian Kazimierski był dowódcą pocztu d-cy pułku) a gdybyśmy się wycofywali ze Stefanowa, wyprowadźcie tabory i trzymajcie się mnie". W tym nagle gdzieś z południowego krańca wsi, gdzie były kwatery III kompanii por. Henryka (Henryk Furmańczyk) lunęła lawina ognia, broń maszynowa nader liczna i granatniki. Pluton p.por. Sokoła zwija się zmienia front, ale Młodzian (Maciej Janicki) też łącznik majora, dostaje rozkaz: - Niech Sokół wycofuje się. Wycofujemy się i my z Asem, kierunek wschód na wschodnią lizjerę lasu. Za wsią por. Wicher ślęczy obok sierż. Grypsa, który rozłożył już swoich pisarzy, kucharzy i luźnych taborytów ostrzeliwując Niemców we wsi, a także rozwijających się za opłotkami w tyralierę (dużo ich). Osłaniając wycofujące się galopem tabory pluton Sokoła, któremu Wicher daje jakiś rozkaz, zajmuje nowe stanowiska, przedłużając linię obrony pocztu, znacznie wzmacnia Grypsa. My z Asem za taborami osiągamy skraj lasu i widzimy jak Sokół i Gryps ze swoimi oddziałami, ostrzeliwując się i bardzo porządnie skokami, wycofują się do tegoż lasu, gdzie już zniknęły bezpieczne tabory. „Orlik nie pętaj się, trzymaj się mnie"- to As do mnie.- Więc trzymałem się go. Dotarliśmy do długiej przesieki, na której stoi bardzo długa kolumna taborów naszych i 72 pp AK. Dogania nas Gryps i razem meldujemy się kpt. Morusowi. Ruszamy do sanitariatu, Gryps ma jednego rannego. Dziewczeta nasze Sława i Wiktoria (Bronisława i Janina Leśniewskie) - moje siostry, mają sporo rannych. Mają także dość pracy sanitariuszki z 72. Jest i kpr. Kmicic nasz gospodarczy, wyciąga ze swojego wozu spośród kłopotów sztylet esesmański, daje mi i powiada , jesteście kwita". Byliśmy wreszcie kwita: trzy miesiące minęły już, jak za mojego Colta „45"- dwa magazynki i 80 naboju dał mi Walterka „7"- 150zł i obiecał ten sztylet, który mi się bardzo podobał. Walterka dałem Sławie, a o sztylet upomniałem się, wreszcie skutecznie. Ale kłopot jak go przytroczyć do pasa. Wróciłem do Sławy, dostałem kawał bandaża i kilka niechętnych słów, bo przecież opatrywały rannych, którzy już spłynęli z pola. Wyniosłem się jak niepyszny, pochwę przywiązałem do pasa bandażem. Nie pięknie to wyglądało, ale sztylet miałem pod ręką. Idzie Witka (Józef Rzepacki) od Maja dźwiga rannego (Leonard Sędziewski). Z Witka chłopak na schwał, ze mnie chuchro, ale jednak wypada pomóc. Więc pomagam, kilkadziesiąt kroków i Zemsta na platformie w rękach Wiktorii. Ja po reprimendzie od Sławy czuję się intruzem. Pytam Witka co ma zamiar robić. „ Wracam na linię - do plutonu" - mówi - ja na to: „Pójdę z tobą bo tu nie mam co robić, ale poczekaj to się odmelduję". Począł, odmeldowałem się u Asa, odesłał mnie do kpt. Morusa. Morus -,„zgoda poszukaj sobie majora". Więc ruszyliśmy, to jednak był spory kawał drogi. Ale oto i p.por. Maj (Aleksander Arkuszyński). Witka zaległ wśród kolegów z plutonu rozłożonych na stanowiskach w tym mieszanym zagajniku. Podbiegam do p.por. Maja, meldując „ze ponieważ nie wiem gdzie jest major proszę o pozwolenie zostania w jego plutonie..". Nie skończyłem meldunku (nie wiem czy w ogóle Maj zwrócił na mnie uwagę" bo nagle odwrócił się ode mnie, speszony spojrzałem za nim i zobaczyłem jego pluton pośpiesznie opuszczający stanowiska. Czołgają się w tył w głąb gęstego zagajnika, a Maj zrywa stena, odciąga zamek i wrzeszczy „stać!", k...-wa mać!", odciąga zamek i krzyczy - który łeb podniesie to mu w ten łeb wyp.....!!!!. Maj łaciny nie lubił, aż tu sam hej!. Odruchowo chwyciłem karabin na gotuj broń i odbezpieczyłem (nabój był w komorze). Obejrzałem się i w tym momencie wychodzi zza gęstych kilkuletnich sosn dwóch facetów w mundurach feldgran, do tego jeden z nich wprost na lufę - nie musiałem celować - strzeliłem, padł. Drugi zawrócił i niemal natychmiast zniknął, gałązki tylko za nim się chwiały, cóż miałem robić, wrzasnąłem hurraaa...! - To samo usłyszałem ze wszystkich stron. Widzę jest, stoi za rozłożystym dąbczakiem i pruje z MP. Mnie jeszcze nie widzi, niewiele kroków - ale naboje wystrzelane, więc bagnetem może zdążyć, już mnie dojrzał - zmienia magazynek - nie zdąży, sięga do kabury, ale ja już wbijam mu bagnet w brzuch. Osuwa się na kolana - chwyta mnie za lufę karabinu, a drugą ręką wyciąga parabelkę- a ja bezbronny, nie

mogę wyszarpać karabinu, ale jest sztylet esesmański i to pod ręką, wbijam mu ostrze w szyję

- on puszcza pistolet i wali się na ziemię. - Jestem w amoku (od tej chwili wiem co to jest amok- chyba szaleństwo, w takim stanie nie ma miejsca na uczucia inne, tylko zabijać), kilka razy wbijam jeszcze ten sztafet w ciało trupa. Czy rzeczywiście trupa?. Jego prawa ręka jeszcze szuka pistoletu - ale tą parabelkę, ja już trzymam, rzut oka na pazur wyciągu – nabój w lufie - więc strzelam mu jeszcze dwa razy w głowę. Parabelkę za pas. Odginam gałąź dąbczaka i karabin bez problemu wyrrywam Niemcowi. Ładuję szósty nabój w lufę. MPi jest bez magazynka - nie będę szukał w wysokim wrzosie. A chłopcy od Maja już mnie przeganiają. Kraska, Tygrys, jak huragan prując w biegu z pepesz (skąd u nich pepeszki – nie ważne) - naprzód, ale MP-i szkoda, wróć potem, teraz go przykrywam bezwładną ręką feldfera. Przeskoczyłem wał kamieni. Gęste kępy jeżyn ograniczają widoczność - szarpię się chcąc uwolnić z kolców jeżyn, które mnie trzymają, nie puszczają, ale odchylają się pędy i widzę z lewej: trzech przy MG. Dziesięć kroków - ja ich widzę, a oni mnie nie (błogosławione kolczaste jeżyny) - celowniczy podryguje lekko w takt długiej serii, amunicyjny otwiera skrzynkę i wyciąga nową taśmę. Więc ja najpierw celowniczego, głowa opada na karabin który milknie, więc amunicyjnego., trzeci rozgląda się i kieruje karabin w moją stronę (mam szczęście, te jeżyny) , ale on szczęścia nie miał, dostał, wyczołguje się, więc poprawka, jeszcze się czołga, dostał trzeci raz i jeszcze się gmera - ale zamek już tylko szczeka, gdzie ten szósty nabój?. Nie wiem kiedy go wystrzeliłem. Więc ładuję. Odpinam ładownicę, gdy ktoś szturcha mnie w ramię, oglądam się - to Krakus (Antoni Pachla), sierż. Krakus olimpijczyk. Pokazuje mi palcem, coś za mną i widzę chyba z dziesięciu - zalegają w szanclu z kamieni, grają z MG (pewnie spandau) - terkoczące serie. Krakus pokazuje, strzelamy a ja mu pokazuję odciągnięty zamek i puste pudełko, więc on szturcha faceta, który leży koło nas (to Żaba - niestety nn) Żaba podaje mi naładowany karabin, a ja jemu mój pusty. Tymczasem Krakus rozpoczął „egzekucję”- trudno uwierzyć - patrzyłem w tamtą stronę starannie mierząc i widziałem: co strzał to trup. Pięć strzałów i pięciu znieruchomiało! - Tak pracuje wicemistrz olimpijski!!!. No mam na muszce tego leżącego, spandau milknie, powtarzam, a tymczasem Krakus oddał Żabie swój karabin i dostał mój już załadowany. Mnie udało się położyć jeszcze jednego, który zdesperowany zaczął po prostu uciekać. Krakus tymczasem dzieło skończył, klepnął Żabę, który narzekał, że przez to strzelanie nad jego głową - ogłuchł. Poszli dalej zapewne szukać następnego celu. Mnie zrobiło się żal tego spandanua, więc zostałem i poszedłem do tej trupiarni, leżało ich 7-iu, z których 6-ciu położył Krakus (znaczyło to że było ich tam nie 10-ciu ale 8). Ośmiu frontowych żołnierzy przeciwko trzem i żaden nie ocalał!. Takim mistrzem był olimpijczyk sierżant Antoni Pachla -Krakus. Prawda pomogły nam kępy jeżyn, ale chyba nie tylko, wieżę że pomagał nam Bóg, a poza tym wiadomo „audentes fortuna iuvat”. Dużo broni leżało w tym gnieździe, ale ja wziąłem tylko tego spandaua, bo przecież czekał na mnie jeszcze tamten pierwszy MG. Rzeczywiście czekał - był to MG -34, ciężki jak cholera, ale mimo to lekko mi się szło. Bój kończył się, broń maszynowa co prawda odzywała się z lewa i z prawa, ale coraz rzadziej, tylko od czasu do czasu łupnął gdzieś w krzakach granat moździerzowy. Długo szukałem „mojego” feldfebla, ale dłużyło się może dlatego, że bardzo niewygodnie szło się przedzierać przez krzaki z własnym karabinem na plecach i dwoma MG na obydwu ramionach. Jednak znalazłem go. Zdjąłem z trupa pas z kaburą parabelki i wtedy okazało się, że na tym pasie przycięnięta przez ciało była ładownica z dwoma pełnymi magazynami do Mpi. Więc już nic do szczęścia mi nie brakowało. Pas dopasowałem, parabelkę do kabury Mpi na piersi, KM-y na pasach, na obu ramionach i... maszerując tak obładowany „nadziałem „ się na majora, który z pistoletem w ręce obchodził pobojuwisko. Chciałem się zameldować, ale machnął ręką, uśmiechnął się i poradził, żebym z tym żelastwem z kimś się podzielił bo mogę dostać długich jaj. Okazało się, że teraz tabory były jakoś blisko, więc zameldowałem się Asowi. Kaemy oddałem szefowi kompani sierż. Maćkowi (Władysław Malec), który jednak najba-

rdziej ucieszył się niestety z MPI, bo o taką broń molestował go nasz d-ca komp. CKM. Cóż było robić. Oddałem broń z żalem, ale poszedłem z powrotem na pobojoowisko, licząc, że tam znajdę drugi taki egzemplarz. Za późno, wszystko było już pozabierana. Spotkałem natomiast sierż. Burzę, a także majora, gdy odmawiał Anioł Pański nad poległym siostrzeńcem - Jurem.

Jakże pięknym dla mnie był tego dnia wieczorny apel. Wywołany z szeregu stanąłem w jednym rzędzie z sierżantami Burzą Krakusem, Cyganem i Białym. Major udzielił nam pochwały przed frontem pułku, a mnie ponadto awansował do stopnia starszego strzelca. Każdego z nas ucałował. Byłem bardzo dumny, w jednym szeregu z takimi sławami partyzanckimi.! Proszę mi darować tą małościowość, ale miałem wtedy 16 lat, a major był dla mnie absolutnym autorytetem. Był i nadal jest, tym oficerem bez skazy, którego należy wskazywać jako wzór. Bohater, a że nie żyje, zamordowany, tym większa mu cześć!

Niedługo po akcji pod Stefanowem, w październiku 1944 r. staliśmy na Widuchu. Mnie odwiedziła moja starsza siostra Róża. Gdy odprowadzałem ją, dogonił nas mój były d-ca rejonu - kpt. Malwa (Stefan Szlęzak), który wracał z odprawy u majora Leśniaka. Major na odprawie omawiał stefanowską bitwę, przy czym bardzo pochlebnie wspominał mnie. I to wszystko Malwa mówił przy mnie. Mnie to bardzo krępowało, ale Malwa nic sobie z tego nie robił, jako mój były dowódca był ze mnie dumny, dał zresztą temu wyraz i kilka lat potem, gdy wystawiał zaświadczenia kombatanckie. Po wojnie, Róża została nauczycielką i podobno na różnych lekcjach wychowawczych przydawał się jej ten epizod jako temat lekcji. 1-go XI 44r. staliśmy na Machlinie. Służbowy wezwał mnie do majora. U majora był, niedawno przybyły do pułku nowy szef sanitarny płk. Chudy (Józef Galler), Żyd. Zameldowałem się, a major w mojej obecności, znów opowiedział o stefanowskiej akcji i znów nader pochlebnie mówił o mnie, w szczególności o tym moim fortunnym strzale i tym moim „hurra”. Okazało się bowiem, że to akurat zdarzyło się na jego oczach. Ja jego nie widziałem, bo był ukryty w krzakach, ale on mnie widział i bardzo pozytywnie ocenił. Płk. Chudy był poruszony - wyjął banknot 100 - dolarowy - dawał mi go. Oburzyłem się, bo przecież dostaję żołd, a napiwków nie przyjmuję. Wówczas major zrugął mnie: „Nie musisz tych pieniędzy przełajdaczyć, ale masz siostrę i matkę w obozie, więc możesz za te dolary paczki im wysłać” Po tej reprimendzie 100 dolarów przyjąłem, podziękowałem i odmeldowałem się. W maju 1947 roku byliśmy sądzeni przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Poznaniu. Major główny oskarżony za zgodą sądu opowiedział znów ten stefanowski epizod (chcąc zapewne usposobić pozytywnie sąd do mnie i do Burzy). I znów chwalił nas za tę akcję. Na tej sprawie świadkami byli współoskarżeni Tadeusz Nowak-Brzoza, oraz sam Burza-Karliński. Sądzę, że ślad tego zeznania można by było znaleźć w aktach RSW w Poznaniu, nr. Akt SR 551/47. Jeśli to będzie konieczne to podejmę się trudu odnalezienia.

ZDJĘCIA Z ALBUMU KONRADA LEŚNIEWSKIEGO



Konrad Leśniewski pseudonim „Orlik”



Konrad Leśniewski i Władysław Malec
(najniższy i najwyższy w oddziale)



Konrad Leśniewski w Justynowie nad Pilicą



Zdjęcie z lat pięćdziesiątych - Konrad Leśniewski,
asystent na Politechnice Gliwickiej



Konrad Leśniewski trzyma za ręce syna Kamila i córeczkę Basię

LISY Z DÜSSELDORFU?

9.7.2005

Bardzo szanowany Panie Burdzy,

W związku z mozym telefonatem (przebiegaj wieczorem)
Zataczam spis 16 Żydów uratowanych podczas wojny na
Lukowcu z miasta ŻURAWO uratowali się na Lukowcu tylko
14 Żydów. Gdyby ich więcej było - tobym na pewno (w 100 procentach)
o nich (o tym) wiedział. Oczywiście nie mógł wiedzieć czy na
Lukowcu uratowali się również inni Żydzi, tożn. Żydzi z innych
miejscowości, oprócz Żydów jurawieńskich (których wszystkich sobie
znałem). O moim opisie wspomnianych dwóch dziewcząt (z Buk-
aczowca?) wiem tylko przypadkowo, bo mieszkam w tym i w tym.

- 2 -

(k.b.p.)
rodzicami kilka dni (od 27.7. do 1.8.1944) u tego Polaka, ^u którego
~~te~~ te dziewczęta mieszkały podczas ^{i nawet trochę później} niemieckiej okupacji. O ile
dobrze pamiętam była jedna z nich ^{z Bukaczowca} z Bukaczowca (zdać się że była
ona krewną jurawieńskiego Żyda BRATSZPISA) a druga miała
także to nazwisko KRAUSHAR (nie pewno) i pochodziła albo z
Bukaczowca, albo ze samego Lukowca.

Mam nadzieję że załączony mój spis pomoże Sz. Panu porozumieć
podmówić Pański artykuł o uratowanych Żydach na Lukowcu.

Jeszcze raz serdecznie Sz. Panu dziękuję za ustawę o państwowych
za Bułgarię majątkach polskich obywateli i za wyrok (i za artykuł z gazety)
trybunału konstytucyjnego na ten temat.
Zataczam serdeczne życzenia i pozdrawienia Henryk Lieberman

Spis 16 Żydów, uratowanych na Lukowcu podczas wojny
Ten spis zestawit Henryk Liberman, jedyny z nich
który jeszcze żyje w Europie.

Z tych 16 Żydów, pochodzili 14 z miasta ŻURAWNO a
jeszcze 2 żydowskie dziewczęta, prawdopodobnie z Bubaczowice

- 1) 3 osobna rodzina Libermanów (t.j. wspomniany Liberman Henryk i jego rodzice b.t.p. Dawid i Estera) i Mosze ^{PRINZ}~~PRINZ~~. Uratowała ich rodzina Kuchtów (~~#~~ ś.p.p Jan i Józefa i ich dzieci Jan, Aniela i ~~Władysław~~ Władysław (żonaty z MAŁEC) i Władysław (widowa ś.p.p BUCZAK'a)
- ~~2) ~~Ś.p.p. Henryk i Józefa wspomniani~~~~ Żydzi 4 (tężej wspomniani) Żydzi wyjechali po wojnie do Żydowskiego państwa IZRAEL.
- 2) b.t.p Abraham EBERT i jego siostrzenica BRONIA, jak również bracia SZECHTER (Henryk i Juliusz). Ta czwórka Żydów również wyjechała po wojnie do państwa IZRAEL. Uratował ich pewien starszy Polak OŻGA (lub OŽGA).
- 3) ZOBLE Laura (żona znanego żurawieńskiego lekarza dr. ZOBLER'a) i jej synek Lusia. Po wojnie wyjechali oni do Stanów Zjednoczonych (NEW-YORK), gdzie wspomniany dr. Zobler pracował jako lekarz. On wyjechał do Ameryki w 1939 r., kilka miesięcy przed napadem Niemców na Polskę. Nie znam nazwiska rodziny Łukowieckiej, która ich uratowała.
- 4) Aptekarz żurawieński KROO ze żoną. Również nie znam nazwiska Łukowieckiej rodziny, która ich uratowała. KROO był po wyzwoleniu jeszcze krótki czas aptekarzem w Żyrardowie, później w Archowiczach ^(później) na Dolnym Śląsku i na koniec w Warszawie.
- 5) Szwagierka wspomnianego aptekarza KROO (siostra jego żony) Rozia JAMPEL i jej córeczka ERUSIA. Również nie znam

nazwiska Lukowieckiego Polaka, który ich uratował. Jeszcze podczas okupacji niemieckiej on wyjechał z tego dworu Żydówkami do zachodniej Polski (~~przebiegiem~~) (nie wiem dokładnie dlaczego). Po wojnie znalazł ich mąż wspomnianej Rózi (JAMPEL Wilhelm), który podczas wojny służył w wojsku radzieckim (zamobilizowali go na koniec czerwca 1941 r., natychmiast po napadzie Niemców na Związek Radziecki). Po wojnie oni zostali ^{do 1968 r.} w Polsce (w Łodzi), gdzie wspomniany JAMPEL pracował ^{na polskim} Ministerstwie Handlu Zagranicznego. W roku 1968, gdy wypędzono ^{z Polski} wszystkich Żydów, którzy do tego czasu pracowali ^{na polskim} na stanowiskach rządowych, wyjechali oni ~~do Francji~~ (Paryż) (we Francję). (którego imię i nazwisko już nie pamiętam)

6. Wyżej wspomniane 2 Żydowskie dziewczęta, prawdopodobnie z Bukaczynki. 2
 Nie mam pojęcia, co się z nimi po wojnie stało.
 Uratowała ich Lukowiecka bezdzietna para, która mieszkała nie daleko od stacji kolejowej ŻRANNO-NOWOSIELCE. Niestety ^(trzymacie) zapomniałam ich nazwisko. Mieszkałam u nich kilka dni (od 27 lipca do 1 sierpnia 1944 r.) zaraz po wyzwoleniu. Pamiętam tylko że ten Polak miał wspomniany humor, i ciężko opowiadał różne dowcipy.

Najzłotszego razem więc uratowało się na Łukowie 16 Żydów.
 i to według moich osobistych wiadomości. O innych - nie wiem.
 Wszelkie te 16 to znaki osobiste.
 Henryk Liberman
 07.07.2005

List z Dusseldorfu od Pana Henryka Libermana

Choć bez specjalnych trudności można list odczytać, jednak dla łatwiejszego zapoznania się z tym dokumentem postanowiłem przepisać go na maszynie:

Spis 16 Żydów uratowanych na Łukowcu podczas wojny. Spis ten zestawiał Henryk Liberman jeden z nich, który jeszcze żyje w Europie. Z 16 Żydów przychodziło 14 z miasta Żurawno a jeszcze 2 żydowskie dziewczęta prawdopodobnie z Bukaczowiec.

1. 3 - osobowa rodzina Libermanów (t.z. wspomniany Liberman Henryk i jego rodzice bł.p. Dawid i Estera) i Mosze Prinz. Uratowała ich rodzina Kuchtów św.p. Jan i Józefa i ich dzieci Jan, Aniela (zameżna Malec) i Władysława wdowa po św p. Buczaku. Wszyscy 4 (wyżej wspomniani) Żydzi po wojnie do żydowskiego państwa Izrael.
2. Bł. p. Abraham Ebert i jego siostrzenica Bronia , jak również bracia Szechter (Henryk i Juliusz). Ta czwórka Żydów również wyjechała po wojnie do państwa Izrael. Uratował ich pewien starszy Polak Ozga (lub Ożga).
3. Zobler Laura (żona znanego żurawieckiego lekarza dr Zoblera) i jej synek Lusiek. Po wojnie wyjechali oni do Stanów Zjednoczonych (Nowy Jork), gdzie wspomniany dr Zobler pracował jako lekarz. On wyjechał do Ameryki w 1939 r., kilka miesięcy przed napadem Niemców na Polskę. Nie znam nazwiska rodziny łukowieckiej, która ich uratowała.
4. Aptekarz żurawiecki Kroo z żoną. Również nie znam nazwiska łukowieckiej rodziny, która ich uratowała. Kroo był po wyzwoleniu jeszcze krótko aptekarzem w Żurawnie, później w Drohobyczu, później na Dolnym Śląsku i na koniec w Warszawie.
5. Szwagierka wspomnianego aptekarza Kroo (siostra jego żony) Rózia Jampel i jej córeczka Erusia również nie znam nazwiska łukowieckiego Polaka, który ich uratował. Jeszcze podczas okupacji niemieckiej on wyjechał z tymi dwoma Żydówkami do zachodniej Polski (nie wiem dokładnie dłaczego). Po wojnie znalazł ich mąż wspomnianej Rózi (Jampel Wilhelm), który podczas wojny służył w wojsku radzieckim. (Zmobilizowali go na koniec czerwca 1941r., natychmiast po napadzie Niemców na Związek Radziecki. Po wojnie on został do 1968 r. w Polsce (w Warszawie), gdzie wspomniany Jampel pracował w polskim Ministerstwie Handlu Zagranicznego. W roku 1968r. , gdy wypędzono z Polski wszystkich Żydów, którzy do tego czasu pracowali na polskich placówkach rządowych, wyjechali oni (do Paryża we Francji).
6. Wyżej wspomniane dwie żydowskie dziewczęta, których imion i nazwisk już nie pamiętam (prawdopodobnie z Bukaczowiec). Nie mam pojęcia co się z nimi po wojnie stało. Uratowała ich łukowiecka bezdzietna para, która mieszkała niedaleko od stacji kolejowej Żurawno-Nowosielce. Niestety również zapomniałem ich nazwisko. Mieszkałem u nich razem z moimi rodzicami bł.p. zaledwie kilka dni (od 27 lipca do 1 sierpnia 1944 r.), zaraz po wyzwoleniu. Pamiętam tylko, że ten Polak miał wspaniały humor i ciągle opowiadał różne dowcipy.

Wszystkich razem więc uratowało się na Łukowcu 16 Żydów i to według moich osobistych wiadomości. O innych nie wiem. Wszystkich tych 16 Żydów znałem osobiście.

07.07. 2005 r.

Henryk Liberman

Wspomnienie o panu Edwardzie Sabacie

Tylko wyjątkowo łukowieccy chłopcy w wieku 12-14 lat otrzymywali uprawnienia kombatanckie. W przypadku pana Edwarda sam Piorun poparł jego starania.

Mam przed oczyma obraz chłopca stojącego obok domu jakich na Łukowcu było wiele na specjalnie przygotowanym podwyższeniu wpatzonego hen w pole na pracujących rodziców. To mały pan Edward gotów w każdej chwili uderzyć w gong gdy zauważy coś niepokojącego. Rodzice mieli wtedy rzucać robotę i biec czym prędzej do domu. Wiele opowiadań o Łukowcu, zawartych w Zeszytach, to informacje przekazane mi przez pana Edwarda. Jego pragnienie aby pomyłek było jak najmniej czy to w nazwach miejscowości czy w nazwiskach ludzi starałem się realizować przekazując mu do sprawdzenia jeszcze przed wydaniem do druku każdy kolejny Zeszyt. Pan Edward znał Łukowiec. Jako ministrant widział co się działo wokół księży Wanatowicza i Gałka a jako syn dowódcy placówki Nr 1 codziennie spotykał się z ludźmi należącymi do Samoobrony. Wielokrotnie przenosił też różne meldunki wewnątrz bazy i wykonywał drobne czynności typu zabezpieczającego, aprowizacyjnego.

Zauważył też szybki awans społeczny łukowian po wojnie na Ziemiach Zachodnich. Często wyliczał mi po nazwiskach dziesiątki łukowian pracujących, w telewizjach: wrocławskiej, lubińskiej, oficerów wojskowych, redaktorów, twierdził nawet, że łukowianin Kosarewicz był drugim reżyserem filmu „Sami Swoi”. Kiedy miał zastrzeżenia do materiałów zawartych w Zeszytach starałem się je zawsze wyjaśniać.

Gdy pan Edward spotkał się u mnie w domu z panem Piotrem Królem „Piorunem” - poprosiłem dyskretnie pana Króla, aby

zmobilizował pana Edwarda do dalszych odważnych wyjaśnień - bo mi tu trochę zaczyna mieć opory, że niby był za mały:

- „A może to ja widziałem, wszystko za bardzo swoimi oczyma” - mówił. - Piorun - załapał o co mi chodzi i powiedział panu Edwardowi wprost: „Dzieciak 12-14 letni czasem wszystko lepiej widzi niż człowiek dorosły: - Masz mu pomagać bo wiesz dużo a u was w domu była przecież jedna z ważniejszych placówek samoobrony”. Pan Edward to życzenie Pioruna potraktował niezwykle poważnie.

Pragnę wspomnieć jeszcze jedno zdarzenie opowiadane mi przez pana Edwarda: Jego ojciec we wczesnej młodości przebywał jakiś czas w ukraińskiej wiosce Mołodyńce (Młodzieńce). Miał tam kilku kolegów i nawet podczas walk w najgorszych czasach z nimi rozmawiał, gdy wychodzili przed las i coś tam chcieli mu powiedzieć. Pan Edward nie miał najgorszego zdania o tej wsi. Na Łukowcu panowała jednak opinia o Mołodyńcach zgoda odwrotna, że to „ryzuny” pierwszej wody. Pan Edward kiedyś powiedział, że dwaj Ukraińcy z tej wsi, dawni koledzy ojca, przyszli do niego już po porozumieniu (dogoworze) i przejsiu frontu - by ich na parę dni ukrył bo Ruscy ich szukają. Matka to nawet słyszeć nie chciała o takich lokatorach, ale ojciec jakoś ją przekonał i trzymał tych Ukraińców kilka dni w stodole zanosząc im jeszcze jedzenie (tę złą opinię o wsi Mołodyńce potwierdził mi także pan Jan Kuchta mówiąc, że ta wioska była tak zbuntowana w okresie międzywojennym, że przez kilka lat nie płaciła nawet podatków rolnych).

Reasumując: odszedł człowiek, który o Łukowcu wiedział bardzo dużo. W Zeszytach, mam taką nadzieję, pozostanie na zawsze jakaś jego część.

Opracowanie: Franciszek Burdzy

Zdjęcia: Marta Polak- Burza, Emilia Dudzic, Kazimierz Oźga,

Józefa Maciąg, Jan Bak, Józef Mokrzycki, Konrad Leśniewski

tel. kontaktowy.: 076 844 60 49

Nakład: 350 egz.